

# KAMENA

DWUTYGODNIK • LITERACKI

LUBLIN

31.VIII.1958

Nr 16 (158)

ROK XXV

CENA 2 ZŁ

## Pod znakiem Norwida

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

Norwid, widząc zmierzch romantyzmu, pragnął nadać poezji polskiej nowy kierunek. „Skreću” miał dokonać cykl programowy stu poetyckich paragrafów pt. „Vade mecum”, cykl, który chciał pokazać „co jest prawdziwa liryka”. Dzieło to jednak, mimo usilnych starań autora, nie zostało „drukem upowszechnione” za jego życia. Co więcej, pozostało do dziś pamiętnikiem, znany jest bowiem w zachowanej całości tylko z fototypicznego wydania autografu, dokonanego przez W. Borowego w 1947 r. (pomijając popularne wydanie londyńskie z 1953 r.).

Bezczelowe byłoby roztrząsanie, jak wyglądałby rozwój poezji polskiej, gdyby współcześni poznali „Vade mecum” i przyjęli je, warto jednak zastanowić się, czy poezja poszła drogą, jaką Norwid oczekiwał i którą chciał zapoczątkować własną twórczością: „Poezja polska tam pójdzie, dokąd „Vade mecum” wskazuje sens, ton, rymem i przykładem”, pisał poeta w liście do Kraszewskiego w 1866 r.

Czy rzeczywiście poszła, czy Norwid wywierał jakiś wpływ?

Pierwsze próby autora „Pióra” przyjęte zostały wręcz entuzjastycznie, co więcej, Norwid stał się w pewnym stopniu przewodnikiem, o czym z niechęcią wspomina w swych „Pamiętnikach” Kajetan Koźmian: „Warszawa zaś brzmiała wtedy odgłosem: „Orle Norwidzie! Norwidzie, wiek twój idzie!”, cytując wiersz Czajkowskiego.

Niestety, poeta opuścił kraj, wyszedł też w twórczości poza młodzieńczość, wzbogacił ją i... sprawił zawód współczesnym. Lecz to nieuznanie nie było tak zupełne, jak się powszechnie sądzi. Norwid bowiem swymi sądami zaważył na niejednym umyśle: „Orle Norwidzie! Norwidzie, wiek twój idzie!”, cytując wiersz Czajkowskiego.

Otóż w czasie, kiedy Norwid formułował swój poetycki program, w atmosferze popowstaniowej rezygnacji w kraju dźwigał się pozytywizm (w emigracji rosły swary). Natychmiast więc potwierdziła się Norwidowa teza, że musi nastąpić nowa epoka, nie sprawdziła się tylko druga teza — że poezja pójdzie w kierunku, który on pokazał, choć trzeba przyznać, iż pozytywizm ciążył w dużym stopniu zarówno ku likwidowaniu romantycznych przerosłów, z którymi od dawna walczył Norwid, jak też ku poezji intelektualnej (filozoficzność Asnyka) i społecznej (Konopnicka) oraz ku realizmowi, dającemu przekrój i obraz przemian społeczeństwa (szczególnie u Prusa). Jednak postawa „czcieli świata” była inna. Ich realizm był realizmem jednostronnym i wiązał się więcej z utylitaryzmem; może dlatego m. in. u wszystkich niemieckich pisarzy tego okresu zaznacza się w ostatniej fazie odwrót od realizmu i nurtu społecznego ku melancholii i niepokojom.

Wartość Norwida odkryła Młoda Polska. Poeta olśnił. „Świeżo ogłoszone przez „Chimera” pisma Norwida stały się powodem prawdziwego wyścigu snobów” — oto świadectwo St. Brzozowskiego. Był dla nich geniuszem skłóconym ze światem, wyznawcą hasła „sztuka dla sztuki”.

Choć życie nasze nie jest warte:  
Evviva l'artel!

rozlegał się głos Tetmajera, a bohater „Próchna” Berenta wołał: „Sztuka to jest wielka rzecz. Nie ma nic innego na świecie”.

Wprawdzie autor „Promethidiona” walczył o sztukę i artystę uczynił jednym z głównych bohaterów swej twórczości, lecz nie była ona dlań aktem

abnegacji — wprost przeciwnie, miała być w życiu czymś koniecznym. W takim samym stopniu można by mówić o zbliżeniu z Norwidem dążeniu do wyjścia poezji z zaścianki narodowej wyłączności ku problemom ogólniejszym.

W sumie jednak tylko Wyspiański upoważnia do przeprowadzenia paraleli z Norwidem. Zbieżności między nimi są wyraźne: podobna ewolucja od „misteriów” ku dziełom współczesnym, dającym osąd pokolenia, uprawianie wielu dziedzin sztuki, silne oparcie o tradycję, obracanie się w kręgu kultury, sztuki, religii i życia społecznego, posągowość i lapidarność stylu, monumentalność... To już nie były zresztą tylko pokrewieństwa. Wyspiański znał Norwida i interesował się nim. Myślał o wystawieniu „Kleopatry”, prowadził z Miriamem rozmowy na jego temat i szukał jego rysunków. Pewne echa „Krakusa” widoczne są w „Legendzie”, „Wandy” zaś — w imiennicze Wyspiańskiego.

Odtąd zainteresowanie Norwidem zaczęło wyraźnie przybierać również postać wpływu. Zasluga modernizmu było pokazanie poety. Autor „Vade mecum” zaciążył nad współczesną poezją. Już futuryzm nie mógł przejść obok niego obojętnie. Oto Bruno Jasieński powiada z bojąwą przekorą w Prologu „Pieśni o głodzie”:

ja nie czytam strindberga, ani norwida,  
nie przyznaję się do żadnego spadku.

Wśród licznych przelotnych grupiek cementuje się u progu dwudziestolecia grupa „Skamandra”. Do Norwida zbliża ją pewien odwrót od subiektywizmu i majaków mglistej fantazji, odrzucenie mitu spraw poetyckich i niepoetyckich, sięgnięcie do dziedziny codzienności. Sama redakcja pisma „Skamander” wyznaje też, że nurt ideowy

pism Norwida — m. in. — „płynnie podskórnie w działalności „Skamandra”. Grupa ta jednak poprzestała na małym realizmie i czasem banał i codzienność traktowane były same w sobie, bez ambicji uogólnień a „normalność” skłaniała się ku samozadowoleniu. Wierność prawdzie obowiązywała, ale kompromisy były także potrzebne. Wraz z półczarną.

„Zbieg okoliczności sprawił, że ambicje artystyczne Norwida sprzymierzyły się pod wieloma względami z nurtem naczelnym poezji nowoczesnej”, stwierdza Giergielewicz w posłowie do wyboru poezji Norwida wydanym w Londynie (1946). Nie był to głos odosobniony. Ów naczelną nurt to chyba odchodzenie od impresjonizmu i opisów natury, dążenie do skrótu i syntez, ujmowanie człowieka jako twórcy historii, redukcjonowanie nastroju i uczuciowości, wersyfikacyjnej katarzynowości na rzecz obrazu. Od Norwida można datować rozwój nowoczesnego obrazowania i wersyfikacyjnej techniki. Dotyczy to więcej poezji obcej i tu nieodparcie nasuwa się nazwisko Eliota. Wskazywano zresztą parokrotnie, że „Eliot mógł być potomkiem Norwida”. Obecnie, zwłaszcza w Anglii, dzięki kilkunastu przekładom, Norwid zaskoczył swą świeżością.

W Polsce kierunku tego szukała awangarda, mniej lub bardziej świadomie nawiązując do Norwida. Lecz ogólnie zbliżanie do poety było dość anemiczne i zewnętrzne, zwłaszcza to świadome.

Przejawiało się ono przede wszystkim w licznych zapożyczeniach frazeologicznych i rytmicznych, w motywach zaczerpniętych z jego twórczości, w wierszach o Norwidzie — Jastruna, Lechonia, Karpińskiego, Przybosia, Piechala, Dobrowolskiego, Lieberta,

Czechowicza, Fraska, Ciesielczuka..., po wojnie Jaworskiego, Słobodnika, Wierzyńskiego, Kubiaka, Wasilewskiego, Mrozowskiego... Wielkość poezji Norwida ulegli i starali się do niego nawiązywać poeci skupieni wokół „Kwadrygi” a potem „Drogi”. Dobrowolski pisze cykl wierszy „Nad Norwidem”:

Ten ton —  
nie fujarkowy, ale wznoszący się  
do heroizmu,  
to znaczy do stylu  
prawdy —  
Tobie zawdzięczam Cyprianie

Kamilu.

Piechał pisze „Pożegnanie Norwida”, które jest świadectwem uwielbienia, równocześnie próbą nawiązywania nie epigońskiego, lecz twórczego:

Bezmiar woła, głos rozwiąż, Cieniu,  
dojrzały milczeniem,  
nad dziełami rąk naszych, nad  
myślą w dziełach ubogą.

Zywi z Tobą iść nie chcę, choć  
chcieć bez Ciebie nie mogą.

Sebyła zaś już wyraźnie pisze „obrazy myśli”.

To była trochę norwidomania, jednak świadczyła ona o potrzebie poezji typu norwidowskiego. Do tej poezji zbliżało się najbardziej drugie pokolenie awangardowe, zwłaszcza Czechowicz i Miłosz. Znamienne jest, że Wyka pisząc parodystyczny wiersz „Pa'm na globie” posługuje się częściowo techniką Miłosza, zachowując elementy stylu Norwida, z którym wiązał autora „Traktatu moralnego” niejedne związki myślowe i frazeologiczne, prócz oczywiście zasadniczych różnic także.

Pełna realizacja Norwidowej koncepcji sztuki nastąpi dopiero w obliczu grozy nieludzkiego czasu. Poezja i w ogóle cały ruch kulturowy okresu okupacji oberze sobie za patrona właśnie Norwida. Powojenne wspomnienia mó-

(Dokończenie na str. 2)

Z WYSTAWY INDYWIDUALNEJ JÓZEF ABRAMOWICZA

PODWÓRKO  
CHELMSKIE

• | • |



# Pod znakiem Norwida

(Dokończenie ze str. 1)

wia, że sięgano wówczas do niego, by „szukać pomocy, nadziei, podniecia do walki”, że młodzi poeci kształcili się na Norwidzie, by zwalczać groźbę terroru, znaleźć opanowany wyraz.

Młode pokolenie, wyrosłe z poezji dwudziestolecia, zajęło wobec niej zarazem postawę krytyczną — również w zakresie jej stosunku do Norwida. Bezimienny artykuł rozprawia się z nim w 1. nrze „Spraw Kultury” z 1944 r.: „Powoliwała się na niego młoda poezja, kumoszki kultury rozczuły nad smutną śmiercią w paryskim przytułku (...). Snobizowano się Norwidem; deklamowanie jego wierszy zasłaniało przed trudną, życiową konsekwencją ich treści... O to właśnie chodziło — o życiową konsekwencję poezji. Oni właściwie pierwsi zrozumieli i podjęli testament autora „Vade mecum”. Odczytali go w ten sposób: „Wola Norwida było, by nie stać się tylko unoszącym się w sferze czystych natchnień artystą, filozofującym poetą, lecz przagnął, by myśl jego pism przetworzyła całość rzeczywistości narodowej”.

Dlatego też najważniejsze konspiracyjne pismo literackie „Sztuka i Naród” wzięło za dewizę i podtytuł słowa poety: „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej”. Postawili sztuce wysokie wymagania i namiętnie oskarżali: „Bankructwo Skamandra, beznadziejna ekwilibrystyka intelektualistyczna awangardy — niech naucza: obowiązuje wielki problem (...). Oczekujemy rozwiązania katastroficznej, tragicznej nuty, aby nie powiedziane było: rośli bezradni, gdy czas wołał o czyn. Zmaganie się z wewnętrzną prawdą, szukanie jej, choćby przez to groziła samotność — oto on”.

Nie tylko oczekiwali. Tworzyli, nawiązując do Norwida, lecz nawiązując twórczo. Zwłaszcza poezja T. Gajcego, którego Lichański nazwał „poetą humanizmu integralnego”, podejmuje ciężar swej epoki, podejmuje pytanie, czym jest ta historia przeżycia. Stąd charakter polemiki ze swoją epoką.

bunt, oskarżenie minionej a jednocześnie krzyk o lepszy świat, o miłość, jako motor dziejów. Potrafił znaleźć powściągliwy dystans wobec czysto ludzkiego bólu, ustrzegł się przed fałszywym patosem skonwencjonalizowanego nadużywania słów wielkich. Jakże przypomina tu swoją postawą zarówno on jak jego koledzy Bojarski, Trzebiński, Stroiński postawę Norwida z wiersza „Fatum”. O tę postawę Norwidową chodzi, nie tylko zresztą wobec nie-szczęścia.

Również Baczyński stanowi wybitną indywidualność poetycką tego okresu. Jest bardziej wizyjny niż Norwid, o własnym obliczu, a mimo to pokrewnym poezji typu norwidowskiego. Zwrócił na to szerzej uwagę Wyka we wstępie do „Śpiewu z pożogi”: „Z ducha Norwida są w tych lirykach rzeczy istotniejsze — i dla formy Pana, i dla stylu Norwida istotniejsze. Element intelektualny, znaczenie, pojęcie jako składnik obrazowania, nie tylko myśli dyskursywno-poetyckiej. To pierwsze. Po drugie — bogactwo skojarzeń humanistycznych, bogactwo obrazów pochodzących z działań ludzkich, z kultury zbiorowej”.

To pokolenie okupacyjne stworzyło sztukę odpowiedzialną, etyczną i intelektualną, wyraziło swój czas, sięgnęło do istoty stylu pokrewnego Norwidowi. Jego wysiłek i osiągnięcia wyraźnie odcinają się w zestawieniu z innymi wierszami — licznymi — tego czasu, „krwią pisanymi”.

Pokolenie powojenne odeszło od tej linii. Można by wspomnieć o T. Chrzanowskim, który jest norwidowski w odczytywaniu pomników sztuki; jego ewolucja prowadzi ku pogłębianiu się rozumieniu nurtu historii. Poezja Z. Herberta to poezja postaw. Jednakże ujmując całość poezji powojennej, norwidowski nurt jest (a przynajmniej był) niewyraźny. Nie umiała ona wznieść się, mówiąc słowami „Lauru dojrzałego”, nad

Rozwzaskliwie czasów przechwiałki  
Co mniemałabyś, że są trąbą granie—?

Do myśli Norwida nawiązał wyrażnie, acz jednostronnie, „Tygodnik Warszawski”. Z jego środowiska wyszła grupa poetycka „Próg” (Ostromecki, Kierst, Sadowski), która obrała sobie za patrona Norwida, „ponieważ dalej od innych sięgnął odkrywczą myśl”.

„Czasom naszym, gdy rozpoczynamy odbudowę i budowę od nowa, trzeba przewodnictwa wszechstronnego i głębokiego, które miałyby w swym planie nie tylko problem pracy, ale i sztuki, nie tylko problem ekonomii, ale i kultury, nie tylko problem klasy, ale jednostki i narodu, nie tylko polityki, ale i moralności, nie tylko nauki, ale i religii”. Grupa rychło rozwinęła się, lecz pozostał postulat, postulat uniwersalizmu i humanizmu integralnego, nie pokrewieństw tematycznych, stylizacyjnych chwytów, trawestacji, epigonstwa...

Po okresie administrowania kulturą poezja znów zaczęła ciążyć do postawy autora „Rzeczy o wolności słowa”. Z jego ducha jest rzetelny, choć surowy osąd współczesności, dokonany przez Ważyka czy Jastruna (który zresztą wchłonął wiele cech poezji Norwida) a także Zagórskiego.

Ten osąd, to zresztą nie wszystko. W poezji naszej coraz mniej widać związków frazeologicznych z Norwidem, coraz więcej za to dążenia do przedmiotowości i wszechstronności, do lapidarnego skrótu i obrazu. Czy to Miłosz i Białoszewski, czy Przyboś i Harasymowicz, Taborski i Czerniawski, wszyscy oni w jakiś sposób ciąży

do poetyce Norwida. Wpływ Norwida na poezję współczesną wyraża się tym, że jakkolwiek byłby do niego stosunek, nie da się go ominąć. Poeta, który chce być twórczy, musi natknąć się na autora „Vade mecum” i przełamywać jego poetykę.

Na tym polega aktualność Norwida, z której sami poeci zdają sobie sprawę. W ten sposób można powiedzieć, że poezja polska poszła a właściwie idzie w kierunku wskazanym przez Norwida.

I to upoważnia do nazywania poety prekursorem, — stoi nad naszą epoką jego dzieło i nie sposób go wyminąć. Poeta, który tworzył sto lat wcześniej, dziś nie tylko jest nadal żywy i nowoczesny, ale wręcz wciąż nas wyprzedza. Jego dzieło daje wiele do myślenia i uderza swą przenikliwością i siłą zapładniającą. Jest więc nie tylko prekursorem, lecz posiada również wartość ogólnoludzką i „ponadczasową”.

Dwie te cechy występujące równocześnie są rzeczą niezwykle rzadką w dziejach literatury, gdyż nawet Mickiewicz jest tylko klasykiem, do którego nie da się nawiązywać w poetyce dzisiejszej. W wypadkach takich możemy mówić o popularności, która jest sprawą znajomości, sprawą czytelności. Norwida zaś poeci muszą nie tyle czytać, ile nawiązywać do niego, przewyższać jego poetykę. Norwid jest nie tyle popularny, ile aktualny.

Zdzisław Jastrzębski

## Nieznana poetka ludowa

MARIA GINALSKA

TRAFILAM na rzecz naprawdę niezwykłą, przekonanie się panowie sami, że nie przesadzam — powiedziałam do kierownika Oddziału Kultury PPRN w Chełmie ob. Królikowskiego i kierownika Domu Kultury ob. Wysokiego — „musimy jednak włożyć sami sporo własnej pracy i dobrej woli, aby pomóc i wykończyć dzieło całego życia naprawdę niezwykłej kobiety. Nasza pomoc polegać będzie na zainteresowaniu prasy i radia twórczością ob. Pauliny Hołysz ze Strupina, umożliwieniu nagrania magnetofonowego starych, zapomnianych pieśni ludowych oraz własnych kompozycji, do których Hołyszowa sama pisze teksty. Jest również konieczne przepisanie na maszynie kilku brulionów z rękopisami jej utworów”.

A może w niedalekiej przyszłości zostanie wystawione na scenie jej „Wesele”, które podobnie jak „Dożynki” zostało napisane z takim właśnie przeznaczeniem. Ob. Królikowski i Wysokie okazali już ze swej strony w tej sprawie maksimum dobrej woli.

Kim jest Paulina Hołysz? Mały domek w ogródku, którego drzewa i kwiaty zostały uwiecznione w prześlicznych wierszach, zajmuje sama jedna 66-letnia kobieta o ujmującej dobrocią twarzy, miłym uśmiechu i głębokich mądrych oczach. Całe swoje życie spędziła w Strupinie i tu urodziła się. Od dziecka stykała się z poezją i literaturą piękną za pośrednictwem swego ojca, który bardzo dużo czytał. Potem już sama starała się o książki, które pochłaniała w ilości naprawdę wielkiej i jak mi sama opowiadała, przywoziła je z Chełma końmi od razu cały worek na raz. Jej ulubieni pisarze i poeci to Mickiewicz, Pol, Krasinowski, Konopnicka, Krasiński, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Reymont, Rózewiczówna. „Pana Tadeusza” czytała, jak mówi, chyba kilkadziesiąt razy. Jest w zasadzie samoukiem, gdyż w czasach jej młodości było bardzo trudno uczyć się i skończyła 4 klasy szkoły podstawowej, a później kurs gospodarstwa wiejskiego.

Pierwsze swoje wiersze napisała mając lat 24, a dzisiaj po przeszło 40 latach dorobek jej jest naprawdę imponujący. Pani Paulina ma bowiem znacznie więcej czasu od każdej przeciętnej kobiety na wsi, gdyż żyje zupełnie samotnie, a jej małżeństwo było bezdzietne. Do wielu swoich wierszy sama skomponowała melodie i piosenki jej są śpiewane w całej okolicy.

Gospodarz, jadący końmi gwiżdże jakąś piosenkę — „to moja własna”, uśmiecha się moja rozmówczyni. Gdy proszę jej o pożyczanie mi na kilka dni swych utworów, bo chcę wszystko przeczytać, musiałabym przez kilka dni u niej kwatrować, Hołyszowa zgadza się bardzo chętnie, lecz przeprasza mnie i zostawia samą, idąc na wieś do

różnych domów i stamtąd przynosi kilka brulionów ze swymi utworami.

Biorę najpierw do ręki gruby zeszyt z nagłówkiem „Moje wiersze i pieśni od 1926 r. do 1948 r.”. Przerzucam szybko kartki i chciwie chłonę temat wierszy. Jakże problemy ona porusza? Tytuły dają mi pełną odpowiedź: Za moją małą chatą, Ty mi wierzbo, Do skowronka, Poranek w polu, Nasza ścieżka, Smrek, Poranek czerwcowy, Sen, Jesień, Zadzuski, Ze wzgórz, O grudko mojej ziemi.

To dobrze, myślę w duchu, to bardzo dobrze, że potrafiła uniknąć maniery i naśladownictwa, że poszła właściwą drogą, jedyną odpowiednią dla niej, że miała taką nieomylną intuicję artystyczną.

Przerzucam kartki dalej i zwracam teraz uwagę na konstrukcję i formę wiersza, na rodzaj rymów. Zdumiewa mnie oszczędność słowa, nigdzie nie zbędnego, co by skreślić można. Wiersz czyta się płynnie, bez żadnych chropowatości, zahamowań dla potrzeby powtórzeń, aby zrozumieć właściwy sens i myśl autorki.

Na chybił-trafił porównuję rymy: słowo „rodzin” rymuje się z „co dzień”, „cmentarzy” z „jarzy”, „zwie” rymuje się z „tę”.

Wszędzie widać u niej fanatyczne ukochanie ziemi, jak przystało na kobietę z jej środowiska.

O, grudko ziemi mojej.  
O, relikwio święta!  
Jaka siła nas razem łączy niepojęta!  
Ty czujesz w mej dłoni,  
Jak krawie krew moja.  
Ta krew, co we mnie tętni.  
To krew przebieży Twoja.  
Bo te soki żywotne,  
Co dają obficie,  
W krew się we mnie zmieniają  
I dają mi życie.  
Te dziady i pradziady,  
Co śpią w Twoim tonie,  
I to, co na powierzchni  
Twojej siane w zagonie,  
To wszystko jest mój pokarm i ciału  
I duszy.

Żyję tym, jak roślina deszczem  
w letnia suszę.

Na cokolwiek patrzy, nawet wtedy,  
gdy jest nad morzem, wszystko przypomina jej własne środowisko, z którego wyrosła:

Morze tak wyglądało  
Jak rola zorana,  
Kiedy to już do siewu  
Jest przygotowana.  
Takie fale drobniutkie,  
Ze aż spojrzeć miło,  
Słońce ślicznie zachodzące  
Fale te złocono.  
Tylko fale prut okret  
I niby się ślania  
Jak oracz, gdy ostatnia  
Już brudzę wygania.

Czy potrafi odczuć piękno przyrody,  
do której bądź co bądź przywykła w ciągu całego życia? Posłuchajmy, jak opisuje jesień:

WACŁAW MROZOWSKI

## Norwid

Ziemia jest czarna i ciężka, Kominy strzelają złotem.  
Lata i zimy mijają się z wiosną i jesienią.  
Drogi francuskie to drogi na Golgotę,  
Atlantyk, ziemia John Browna — morze płomieni.

Serce nierówne sereu, miłość miłości,  
krzyk wodą z niebieskich stawideł wybuchu szrapnelem, —  
Człowieku chory na Polskę, której Ci nikt nie zazdrościł,  
z Polską pod czarnym surdudem jak z dziełem.

Niesię tomy historii przesuwa wychudła ręka,  
żrenice stygną na marmur pod ich ciężarem, —  
przy stole zielonym narodów niech nikt nie klęka,  
zastygnęli i tak na zawsze wzdłedem.

I już nie się nie zmienię na piersiach zalanej mapy,  
przeszłość przekreśli dynamit, krzywe cmentarne krzyże...  
cisi, zbłąkali wędrowcy z brzemieniem szczęścia wszechświata,  
przybędą w łodziach trumien. Niech nikt się do nich nie zbliża.

Nie witać ich niezym więcej, jak straszny żywych milczeniem,  
niech serca rytym swój zmienią i staną na baczność przez chwilę,  
a jeśli znajdzie się żywy, co w trumnie cienie kamieniem,  
krzyż w ziemię bardziej się schyli a serca wzleć motylem.

Tylko nie wspominać — wspomnienia spalają na popiół,  
tak być widocznie musi — samotny cypel został —  
i rzędy wierzbi wiślanych, zroszone czapy topól,  
i wiatr z tych stron twarz samotniczą chłosta.

Patrzę tułaczym okiem w marmurzący tom dziejów,  
w którym się Polska kryształ, lecz jakże inna  
od ziemi rąk tworzących — kmieci i kołodziejów —  
a taka być powinna.

Taką Fryderyk wypieścił namiętnie grając,  
kiedy dogasał jak płomień, jak iskra spod obucha,  
a jam go słuchał z nim razem się spalając,  
ostatni patrycjusz ducha.

Wyjść na spotkanie gromady lat sprawa nielatwa,  
gdy rzeczywistość w gruzach jak starogreckie sklepienie  
i choć szarża dudniących dni wszystko pogmatwa,  
zagłuszyć nie zdola nie pod zgrzebną siermięgą sumienia.

Przez okno patrzę. Ptaszyny ostatnie okrucy jedząc  
też patrzę, — za szybą wygaseł okry smutem.  
Odleć, by nie wrócić — jak przed ośmiem siedzą —  
a ja, czy wrócić kiedy, jak one nie wrócić?

Ziemia jest czarna i ciężka, Kominy złotem strzelają.  
Czy to już jesień ostatnia? — ktoś wie...  
słychać odgłosy werblów, które wołają, wołają  
w noc i dnie.

# SZEŚĆ sonetów SZEKSPIRA

w spolszczeniu

K. A. JAWORSKIEGO

Dzień obiecany mi wielki, wspaniały,  
bez płaszcza z domu się wymknąłem błady.  
Ale obłoki ciemne mnie dognały,  
dopadła burza deszczem swym i gradem.

I choć przedarłszy się przez chmur załomy  
mych skroni wicherem i deszczem smaganych  
dotknął się później twój łagodny promyk,  
nie mogłaś nim zagoić mojej rany.

Twój smutek teraz mnie nie rozwesela  
ani twa skrucha nie cieszy mnie zgola:  
wątpliwy lek — współczucie krzywdziciela

zabliźnić rany palącej nie zdoła.  
Ale łez twoich, łez perłowe zdroje  
ulewają zmyły wszystkie grzechy twoje!

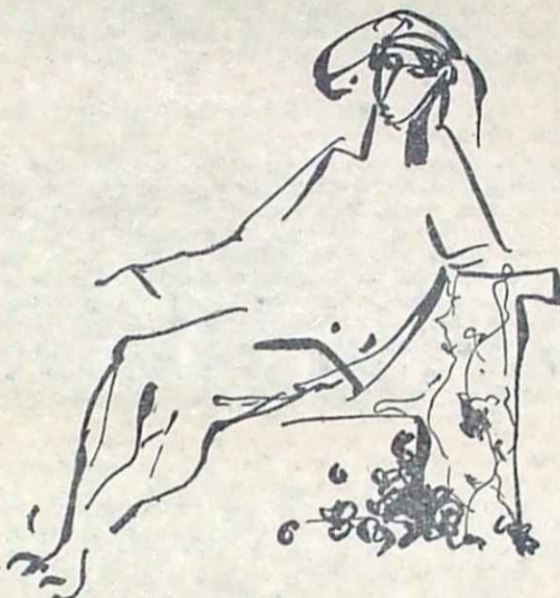


Wszelchświata dwie podstawy inne: ogień  
z powietrza tchnieniem są najbardziej lekkie.  
Oddech mych myśli i pragnienia płomień  
ślę tobie wbrew przestrzeni tej dalekiej.

I gdy do ciebie dwa wolne żywioły,  
miłości gońce polecą z tęsknotą,  
ze mną zostanie ciężar niewesoły  
dwóch pozostałych, co mi duszę gniołą.

I tęsknię wciąż wyzbyty równowagi,  
póki żywioły tamte: duch wraz z ogniem  
nie wrócą znowu z wieścią pełną wagi,

że jesteś zdrowa, że pamiętasz o mnie.  
Jakżem szczęśliwy. Ale chwila minie  
i znów ku tobie każda myśl ma płynię.

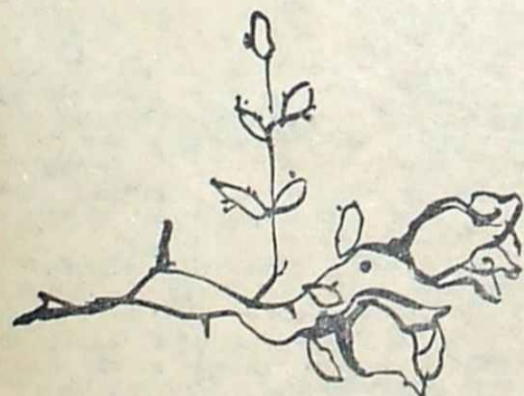


O, gdyby myślą mogło stać się ciało,  
z jakąż łatwością wbrew losom złowrogim  
przeprzeń dzielącą nas by przeleciało,  
aby przy tobie znaleźć spokój błogi.

Choćbym był w kraju, nie wiem jak dalekim,  
myślą, co niesie się nad morskie fale,  
zza siódmej góry i zza siódmej rzeki  
osiągnął cel bym upragniony stale.

Cóż że ma dusza z ognia jest i ducha,  
kiedy marzenia, co się w mózgu rodzi,  
ciało me — z dwóch żywiołów — nie usłucha,

posłuszne ziemi i posłuszne wodzie.  
Ziemia: w grunt twardy wrosłem już na zawsze.  
Woda: to oczy moje coraz łzawsze.



Jak bogacz mogę kiedy zechcę tylko,  
zobaczyć skarb swój, czyniąc sereu zadość.  
Lecz dobrze wiem, jak krucha jest ma radość,  
gdy cieszę się spędzoną z tobą chwilą.

Rzadkie są takie w naszym roku święta,  
tym większym wtedy poją nas weselem.  
I rzadko kiedy wśród kamieni wielu  
naszyjnik błysnie ogniem diamentu.

Niech jak szkatulka czas ciebie ukrywa,  
koronę mą i gwiazdę mego życia,  
lecz szczęściem płonę, gdy z tego ukrycia

wyzwoli ciebie, brankę nieszczęśliwą.  
Ty darzysz mnie triumfem chwil spotkania  
i niecierpliwą radością czekania.

Jeżeli granit, miedź, ziemia i morze  
nie mogą wieczniej ostać się na świecie,  
jak ze zwiędnięciem walcząc przetrwać może  
uroda twoja — to beznadziejnie kwiecie?

Jak tu zachować woń róży wspaniałej,  
gdy napór czasu bezwzględny i dziki  
podważa nawet niewzruszone skały,  
wali kolumny i dumne pomniki?

O gorzkie myśli! Utrapienia męko!  
Gdzie, w jakiej piękno można skryć ustroni?  
Jak tu wahać się zatrzymawszy ręką,

kwiat czasu pewnie od czasu uchronić?  
Rzecz beznadziejna. Lecz twa jasna postać  
może w tym czarnym atramencie zostać!

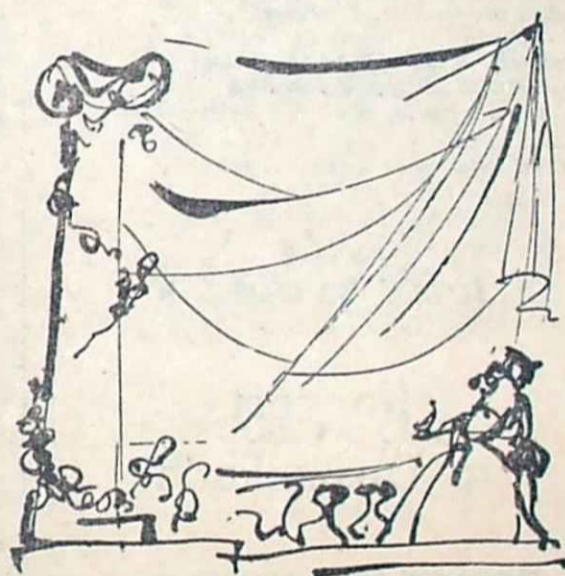


Me oczy nie są w tobie zakochane:  
widzą wyraźnie wszystkie twoje braki,  
lecz serce ślepe skape jest w naganę,  
i jego sąd, i oczu nie jednaki.

W uszach twe słodkie słowa brzmią bezplodnie,  
twój głos i oczy, rąk twych uściśnięcie  
związać nie zdołały, bym je uczcił godnie  
na słuchu, wzroku i dotyku święcie.

A zmysły moje nie umieją jednak,  
ni wszystkie pięć, ni każdy z nich oddzielnie  
przekonać serca, które nie wie biedne,

że ta niewola godzi weń śmiertelnie.  
I w tym nieszczęściu jedną mam pociechę,  
żeś moim piekłem i żeś moim grzechem.



Pozłocili się sady,  
Poszarzały łąki.  
Nocka się przydłużyła,  
Skróciły się dzieńki...

Po jesieni nadeszła sroga zima.

...aż zima przyszła,  
chłodem powiała,  
raz przyszedł człowiek,  
spojrzał na brzoze:  
„Jak mi cię szkoda  
brzoze nieboże!  
Lecz w mojej chacie  
marznie rodzina”.  
„Tnij mnie siekierą”  
— mówi brzezina —  
„Ja siebie, człeczko,  
w ofierze złożę,  
ty czasem wspomnij  
bielutką brzoze”...

W którąkolwiek stronę swej wioski  
obróci oczy, wszędzie widzi piękno:

Gdzie się obróci — szmer njeustanny,  
Bo to przyrody pacierz poranny.  
Bocian na łące zjada śniadanie  
I zdala słysząc fujarki granie.  
Pastuszek krówki na ugór zagnął  
I na wierzbowej fujarce zagrał...

A miłość, ten najpiękniejszy i ulu-  
biony temat poetów, jak ją Hołyszowa  
opiewa?

— Ciemna chmureczka na niebie,  
Puść mnie, dziewczyno, do siebie.  
Zaczyna drobny deszcz padać —  
Jak się mam z Tobą dogadać?  
— Ty chcesz mnie ukraść serduszek,  
A potem odejść, psia juszko!  
— Choć jesteś wiejska dziewczyna —  
Lecz ja Cię kocham, jedyna...

Czasem w wierszach są smutne na-  
stroje.

Nawet warkot kołowrotka nie potrafi  
odegnać złych myśli i powstrzymać łez.

Przedzie dziewczę u okienka,  
Przedzie całe dnie,  
Z kądzialczyki nitka cienka  
Razem z piosnką mknie.

Za okienkiem śnieżek prosiły,  
Z wiatrem pędzi w dal.  
Przódce smutno dziś na duszy,  
Lży wyciska żal.

Upuściła wrzcioneczką,  
Niteczka się rwie.  
Smutno patrzy w okieneczko,  
Strząsa z oczek łzę.

Próżno, przódka, serce boli,  
Próżno smucisz się:  
Nie odgadniesz swojej doli,  
Los nie przyniś się.  
Nie patrz smutnie w okieneczko,  
Nie, nie zgadniesz, nie!  
Puszczaj wartko wrzcioneczkę,

Niech znów nie twa mknie.  
Wysnuj nitkę aż do końca  
Z bieleńskiego lnu.  
Błyśnie, błyśnie promień słońca  
W chmurnym życia dniu...

Doświadczenie życiowe uczy, że dla  
młodej dziewczyny ten „promień słoń-  
ca” przeważnie tak świeci:

Oj, będzie wesele,  
Oj, wesele będzie.  
Bo dzisiaj Kasieńka  
Da na zapowiedzie.

Będzie „Wesele”, będzie! Już bardzo  
niewiele pracy zostało do ostatecznego  
wykończenia dzieła, które zabrało Ho-  
łyszowej wiele lat czasu.

— „Tak mi żal było, że już nie ob-  
chodzi się naszego dawnego strupiń-  
skiego wesela, z jego tradycyjnymi  
obzędami, ceremoniami i śpiewem.  
Coraz mniej żyje ludzi, którzy jeszcze  
pamiętają te czasy i te zwyczaje. Na  
nas starych wszystko się skończy. Za  
kilkanaście lat, gdy nas nie stanie,  
wszystko przypadnie i pójdzie w wiecz-  
ne zapomnienie. Zrobiło mi się tak żal,  
że przed wojną postanowiłam wszyst-  
ko spisać dla młodych, aby wiedzieli,

jak to u ich pradziadków było. W cza-  
sie wojny wszystko, co spisałam,  
przepadło. Po wojnie zaczęłam od  
nowa pisać i jeszcze mam roboty  
przy tym na jakieś dwa tygodnie. Ale  
najgorzej to, proszę pani, z melodią.  
Nie znam nut i nie umiem sama grać,  
potrafię tylko wszystko zaśpiewać”.

— „Obiecuję pani w tym pomóc, ile  
tylko będę mogła. Przedstawię tę spr-  
awę odpowiednim władzom i jestem  
pewna, że zostanie do pani przystany  
instruktor muzyczny, może nawet z  
magnetofonem, bo widzę, że wasza  
wies jest zelektryfikowana. Równocze-  
śnie mogłyby zostać nagrane inne pie-  
śni, które pani sama skomponowała”  
— powiedziałam.

Pożegnawszy poetkę przypomniałam  
sobie w drodze powrotnej słowa na-  
czelnika Departamentu Twórczości Lu-  
dowej w Ministerstwie Kultury i  
Sztuki, że wartościowych twórców lu-  
dowych należy wyszukiwać i otaczać  
ich opieką.

Maria Ginalska

TADEUSZ BOCHENSKI

## Na śmierć Henryka Czarnockiego

W oczach żony (znam to uroczysko)  
były chyba jeziora. Przy tobie.  
Mogłeś się wpatrywać. Odświecały  
bezpieczeństwem, szczerością i wielkim,  
pewnym jak żelazo miłowaniem.  
Czy dwójka Szczyt Miękusowiecki?

Pamiętałeś. Mówiłeś jej o nim.  
Jak fiołkowie nad Hinczowym,  
jak szturmować stąd i stamtąd, jak mu  
barki deptać, jak czoła zażywać,  
jak wyprawą uwieńczyć zimową.

W oczach matki nie wygasł smutek,  
jad po strasznym widoku, po zbirach,  
co najbliższych wkopywali w ziemię  
i kosili. Technące szyć! Kosą!!  
W oczach matki — ty i rzewna дума.  
Ulgi trochę. Bo syn, bo szlachetny,  
bo niewysłowienie przywiązany.

W oczach ojca — kultura. Nad wojną,  
nad wygnaniem, biedą i niewolą  
pielgrzymował od książki do książki,  
od rozmowy mądrzej do rozmowy.  
Ale ciebie — opływał, opieszczał,  
czuł, żeś dzielny umysłem i ciałem.  
„Jemu — mówił — ufamy. Z górą  
zespółony jak ze skórą. Zna je  
i panuje nad nimi. Wirtuoz.“

Przewijałeś się po nich by wąż,  
ale duszą rosłeś w arcyluda,  
gdys wysokie tykał mięso skały,  
wino wody i wiatru, chleb lasu.  
„Turnia ośnieżona to, czy świętość?  
Niebo, czy łaskawy ichor? Boga?“  
Takim się ważyłeś hymnem, taką wrzałeś  
śródo przestworu modlitwą.

Wtem lawina. Dziwno, lecz tatrzańską.  
Aniś roli kiedy, że w urodzie,  
w majestacie, w pobratymczej dzicy  
Miękusowieckiego — czyha trumna,  
że cię zamknie i zabierze matce,  
śpiewnej żonie, srebrzystemu ojcu.  
Możesz myślał (Tatry zachęcają),  
że Wszechbytu nie dzielić na życie  
i na śmierć, na kosmos i na siebie,  
że najdoskonalszą jest jednością,  
że wejść w niego, uciec zeń — niesposób.

\*) Ichor — krew (gr.)

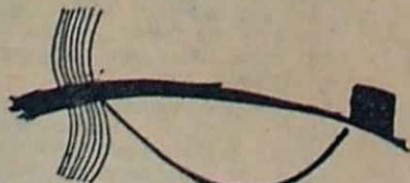
JÓZEF RATAJCZAK

## Koncert w Dusznikach

Muzykę czuć było w powietrzu —  
drgała, szlochała pieśń na strunach,  
w drzewach bezlistnych cienko szumiała  
jesienny, niespokojny wieczór.

Z nieba wlochaty mżył aksamit  
księżyc słonecznik drżał nad płotem  
po parku smutny chodził Szopen  
zmierzchającymi alejami.

Cień księżycowy pelzał przy nim  
wiatr kłonił czuby brzoź do placu  
a zasłuchany chłop-kuracjusz  
zdjął czapkę jakby był w świątyni



Jesienią 1943 roku Warszawa bardziej niż kiedykolwiek  
nasiąkała krwią ludzi, najczęściej nie mających  
nic wspólnego z konspiracją. Przechodniów chwytało  
w ulicznych łapaniach; wyciągano mężczyzn z domów  
i zwykłe po kilku dniach tracono w publicznych egze-  
kucjach. Hitlerowcy szaleli; chcieli terrorem zdławić  
podziemne organizacje, których stalowe palce coraz  
głębiej, częściej i coraz skuteczniej wpijały się w ich  
ciała. W tym okresie Warszawa rzeczywiście, jakby  
przygasta. Ludzie, gdy tylko mogli, nie wychodzili za-  
pełnie z mieszkań. Powszechne przygnębienie mieszało  
się z nienawiścią do okupanta. Bardzo często upiorny  
strach zaglądał w dusze, a napięcie do ostatnich  
granic nerwy niejednego doprowadzały do kresu sił.

Nie było więc rzeczą łatwą znaleźć drzwi otwarte  
dla przyjęcia podręcznego magazynu broni. A mnie  
właśnie przypadła misja zorganizowania w naszej  
dzielnicy tzw. meliny na ten cel. Sprawa była pilna  
i dowództwo naszej podziemnej jednostki bojowej do-  
magalo się szybkiego działania. Robiłem, co mogłem,  
długo jednak bez rezultatu i — przyznam szczerze —  
bez wewnętrznego przekonania w powodzenie poszu-  
kiwań. Każdy z lekkim słuchał odgłosów kroków na  
schodach, a detonacje strzałów, towarzyszące nie koń-  
czącej się serii ulicznych egzekucji, bynajmniej nie  
zachęcały do poświęceń. Rzecz — ludzka.

W tych to warunkach zetknąłem się po raz drugi  
z Janem Kosmą. Poznałem go przypadkiem dużo  
wcześniej. Ot, po prostu szukałem jakiegoś adresu  
w domu, gdzie — jak się okazało — był on dozorcą.  
Okoliczności, w jakich zobaczyłem go wtedy, były dość  
niezwykłe.

Gdy otworzyłem na parterze oficyny drzwi ze scho-  
dów z tabliczką i napisem: „dozorca“, uderzyła mnie  
fala wilgotnej, lepkiej mgły i zaduch, towarzyszący  
praniu. Wszedłem starając się nie oddychać głębiej  
skażonym powietrzem.

Po środku małej kuchenki, na dwóch krzesłach i stoł-  
ku stała duża balia, wypełniona szarą, parującą cie-  
czą. Nie było to zachęcające, gdyż nie znośmłem woni  
mydła. Na poręczach krzesła i na kuchennym stole  
piętrzyły się stosy wyjętej bielizny: oddzielnie — bia-  
łe, osobno — kolorowe. Na fajerkach w wielkim bla-  
szanym kotle bulgotała pod pokrywą gotująca się wo-  
da; na podłodze leżała jeszcze cała masa różnokoloro-  
wej, brudnej bielizny, przygotowanej zapewne do  
„pierwszej kąpieli“.

Było potwornie duszno. Od rozognionej płyty ku-  
chennej błądził żar.

Znad bali wyprostowała się szczupła postać. Chwilę  
milczałem, gdyż nie spodziewałem się, że ujrzę w tej  
sytuacji mężczyznę. Chrząknąłem speszony, a Kosma  
parującą, obnażoną po łokieć, żylastą ręką o palcach  
i dłoniach papierowo i gąbczasto białych od dłuższego  
działania wody z proszkiem do prania, zgarnął na  
chudej piersi brzegi granatowej koszuli, jakby gestem  
lekkiego zakłopotania. Zapytał grzecznie, czego sobie  
życzę, potem słuchał uważnie moich pytań i powoli,  
słowo po słowie, ciężko ale jasno wytłumaczył mi to,  
co było mi potrzebne. Podziękowałem i śpiesznie wy-  
szedłem z tego „małego piekła“, unosząc w oczach  
obraz poważnej, kościstej twarzy Kosmy o niepropor-  
cjonalnie długim i szerokim podbródku, cienkim no-  
sie i dużym wypukłym czole, pokrytym siatką potu  
i zlepionymi kosmykami prawie czarnych włosów. Ce-  
rę miał ciemną, jakby mocno opaloną i spokojne małe,  
niebieskie oczy. Było w nim coś niezwykłego, co głą-  
boko wryło mi w pamięć tę twarz. Być może, iż przy-  
czyna tkwiła w owym niecodziennym zestawieniu:  
mężczyzna i balia.

Kiedy w jakimś czasie później niespodziewanie dostałem  
adres upragnionego punktu, hasło: „Maryna“ i odpowiedź:  
„Balia“, mignęła mi w pamięci scena z dozorcą, pod-  
noszącym szczupły tors znad bali, ale jeszcze wtedy  
nie wiedziałem, że znów się z nim spotkam. Oczywiście  
nie pamiętałem adresu tego człowieka piorącego  
bieliznę, gdy jednak przekonałem się, że chodzi o te  
same drzwi z tabliczką: „dozorca“, zawahałem się  
i wycofałem. Minęło dobrych kilka minut zastano-  
wienia, zanim zdecydowałem się wejść, po dojściu do  
wniosku, że wahanie jest tu zupełnie nieuzasadnione.  
Przynaglił mnie zresztą fakt, że na ścianie domu roz-  
klejono właśnie wielki czerwony afisz, zapowiadający  
egzekucję kilkudziesięciu osób. Było tam też ostrze-  
żenie przed udzielaniem pomocy „polnischen Bandi-  
ten“. Pomyślałem, że Kosma, mając bezpośrednio przed  
oczami takie „memento“ może się rozmyślić. W ten  
sposób nadzieja załatwienia tego punktu przepadłaby.

Męski, głęboki głos odpowiedział: „proszę“, gdy za-  
pukałem. Wszedłem. Spojrzeliśmy na siebie. Wiedzia-  
łem, że mnie poznał. Powiedziałem niepewnie:

— „Maryna“ — ...

Jego odzew podał ten sam znany mi już, spokojny  
głos. Nie udało mi się wysłuchać w nim żadnego ży-  
wszego uczucia. Byłem trochę podniecony wewnętrznie  
tym spotkaniem, dlatego dopiero po omówieniu ter-  
minu dostawy broni, nowego hasła i odzewu i tego  
wszystkiego, co towarzyszyło tego rodzaju rozmowom,  
zauważyłem w kącie łóżka pod ścianą drobną figu-  
rkę dziewczynki.

— Cóż to? dziecko? — zapytałem ostro i oczywiście  
głupio, mimo woli marszcząc brwi.

— Tak — odpowiedział wolno, a potem ciszej, ja-  
koś miękko i jakby z odcieniem wymówki:

— Ona nie słyszy i ona... chroma.

Milczałem zaskoczony nastrojem wynikającym z tych  
słów, on kończył — jak zwykle z trudem dobierając  
wyrazów:

— Matka w szpitalu... — Poruszył parę razy bezrad-  
nie rękoma, ale już nic więcej nie powiedział, tylko  
popatrzył na dziecko oczami, w których najwyraźniej  
dojrzałem ciepły ton miłości.

Poczułem się jakoś nieswojo i szybko pożegnałem  
Kosmę.

W dwa dni po dostarczeniu do nowego punktu bro-  
ni i amunicji, poszedłem tam dla skontrolowania, jak  
wykonano przerzut i jak zorganizowano magazyn.  
Wszystko według relacji Kosmy było w porządku.  
Szczupła koścista jego twarz, gdy meldował mi o tym,  
miała w sobie wyraz wewnętrznej twardości. Pomy-  
ślałem, że człowiekowi temu można chyba zaufać  
wiele i że dobra opinia o nim, którą otrzymałem wraz



## KOSMA

z jego adresem, była uzasadniona. Oczywiście w spra-  
wach tych z reguły mówiło doświadczenie, nie mniej  
zdecydowałem się pod wpływem nagłego impulsu za-  
pytać go, czy mógłby wynaleźć odważnego, pewnego  
człowieka, który by dostarczał broń z magazynu wed-  
ług zapotrzebowań.

Kosma zamyślił się i na chwilę przysłonił ręką  
oczy.

— Jest taki — powiedział wreszcie.

Zapytałem o szczegóły. Wyjaśnił, że myśli o kole-  
dze z tego samego domu. Nie podobało mi się to sku-  
pienie dwóch ludzi z konspiracji w jednym miejscu,  
ale Kosma powiedział widząc moje wahanie:

— Mogę za niego ręczyć, jak za siebie, pracow-  
aliśmy w jednym przedsiębiorstwie węglowym, znam  
go dobrze.

— Wobec tego — odrzekłem — zamelduję o tym  
przełożonym; niech oni zadecydują. — Kosma ki-  
wnął głową ze zrozumieniem.

Już na odchodnym zapytałem, gdzie umieścić  
skrzynki. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, pochylił  
się i uniósł barwną kapę pokrywającą łóżko.

— Tutaj.

Okazałem niezadowolenie i zdziwienie. Wybór ta-  
kiego schowka pozostawiał wiele do życzenia. Różnie  
mogło się zdarzyć w podobnych warunkach. Mógł  
ktoś odwiedzić Kosmę i przypadkiem odkryć tajem-  
nicę, mogła mała Kasia wyciągnąć granat albo pisto-  
let; mogło stać się wiele rzeczy drobnych, które zdol-  
ne były zniszczyć i Kosmę, i córeczkę, i melinę, i cen-  
ną broń. Wreszcie trudno mi było uwierzyć w równo-  
wagę duchową człowieka, który dzień i noc ma wprost  
na wierzchu taki „ładunek“, zwłaszcza w okresie  
obecnego nasilenia terroru.

Powiedziałem to Kosmie. Zaczął mówić po dobrej  
chwili namysłu, jak zawsze wolno, krótko i celnie:  
nikogo tu nie zaprasza, wódki nie pije, do zamknię-  
tych skrzynek dziecko nie dostanie się, a co do samo-  
poczucia... Uśmiechnął się króciutkim, nieco ironicz-  
nym uśmiechem i powiedział:

— Mnie się widzi, że to ci, którzy starają się zna-  
leźć na takie rzeczy „mysią dziurę“, mają złe samo-  
poczucie, mnie tam to dodaje życia — pokazał ruchem  
ręki w stronę łóżka. Zapytałem go wtedy, co zrobi  
na wypadek nagłej rewizji, jeżeli znajdą...

Popatrzył na mnie jakoś zimno i milczał. Ponowi-  
łem pytanie.

— O tym myślało się wcześniej — wyrzekł niechętnie, odwracając ode mnie głowę i trzęsąc się dłońmi przesunął po włosach dziecka, które podeszło doń i objęło go chudziutkimi rączkami w pasie. Zawstydzilem się, zrozumiałem bowiem dobrze bogatą treść tych prostych słów. Wychodząc, mocno i serdecznie uściśnięciem rękę dozorca. Ręce te zawsze lekko drżały, gdyż — jak dowiedziałem się wcześniej — Kosma długie lata pracował w wielkich magazynach węgla i tam od ciągłego dźwigania ciężarów mięśnie jego były naderwane.

W parę dni później dowództwo nasze zgodziło się na proponowanego przez Kosmę nosiciela przetrutów. Nazwał on siebie „Rybakiem”.

Przez jakiś tydzień praca szła dobrze, dokonano szeregu dostaw broni, nie było żadnych usterek w funkcjonowaniu nowego kółka naszego aparatu bojowego, aż pewnego dnia rano otrzymałem alarmowy meldunek, że koło domu Kosmy zabito Niemca z Wehrmachtu. Z całej kamienicy natychmiast Gestapo „wybrało” mężczyzn do dwóch ciężarów.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; serce zakolało mocno. Ujrzałem w wyobraźni Kosmę i jego kaleką córeczkę w jak najgorszych sytuacjach. Zrozumiałem zresztą wtedy, ile mam uczucia dla tych dwojga. Data meldunku była wczorajsza. Nie namyślając się długo, pobiegłem.

Przed bramą wisiał dalej stary afisz z anonsem o egzekucji. Zatrzymałem się. Zrazu wydało mi się, że dom jest jak martwy, ale później ujrzałem kilka osób wchodzących i wychodzących z bramy. Jeszcze czekałem. Ulica wyjątkowo była ruchliwa, jak na ów groźny okres masowych łapanek. Ludzie pomykali ostrożnie, bacznie wybiegając oczami na wszystkie strony, zupełnie jak tropiona zwierzyna. Tramwaje przejeżdżały prawie puste. Do mojej bramy znów parę osób weszło i kilka wyszło. Dla pewności poszedłem na pierwsze piętro do krawca. Był w mieszkaniu, jakoś schował się przed hitlerowcami. Zapytałem go, ile kosztuje uszycie ubrania, potem zagadnąłem o łapankę i wreszcie — najobojętniej w świecie — o Kosmę, że podobno go „wzięli”. Krawiec energicznie zaprzeczył. Owszem, rewizję robili wszędzie, u Kosmy też, ale jego nie „wzięli”; wiadomo — dozorca. Ucieszyłem się tak, że już więcej nie pytałem o nic i zbiegłem na dół. Kosma był! Z całego serca uściśnięciem go.

## opowiadanie STEFANA WOLSKIEGO



— Jakże było? — pytam, rozglądając się po mieszkaniu, jakby nie mogąc uwierzyć, że nic się tu naprawdę nie stało. — Rewizja była?

— Ano była...

— No i co, usunęliście oczywiście to wszystko z mieszkania?

— Nie, jak stało, tak stoi pod łóżkiem.

Spojrzałem na niego pytająco i z niedowierzaniem. Odpowiedział krótko, wyszukując odpowiednich słów, ale dziwnie plastycznie i logicznie. Miałem tę scenę przed oczami, jak na dłoni:

Drzwi, otworzone gwałtownym szarpnięciem klamki, a później kopnięciem, odskoczyły; wpadła wrzeszcząca zgraja w mundurach, z rewolwerami i pejcami

w rękach. Przenikliwe oczy spod daszków, nad którymi jaśniały trupie czaszki, wpiły się w twarz mężczyzny, unoszącego tors znad balii pełnej bielizny. Szczupłe plecy zasłoniły zmatowiałe od pary szyby w oknie. Z podwórza dobiegały jęki bitych ludzi, strzały i nieustanny, gardłowy wrzask oprawców.

— Hausmeister?!

Kosma z godnością przytaknął.

— Tochter?

— Ja — powiedział, rzucając szybkie, ulotne spojrzenie na zbielełą twarzyczkę dziecka.

Gdy jeden pytał, inni wpadli do drugiej izdebki. Któryś z nich otworzył szafę, inny ściągnął prawie na podłogę kapę przykrywającą łóżko.

Kosma wycierał jakąś brudną koszulą dymiące, wyjęte z mydlin ręce. Zdawało się, że jest bardzo zajęty tą czynnością.

— Pranie? — zapytał któryś Niemiec łamaną polszczyzną z cieniem ni to szyderstwa, ni to zdziwienia w głosie.

— A tak — rzekł Kosma poważnie.

— Gdzie żona?!

— W szpitalu — i dodał zaraz wyjaśniająco, śmiało patrząc im w oczy, — chora na gruźlicę.

— O!... Tuberkulozę? — wykrzyknął ten, który mówił nieco po polsku. — Nie topsze, nie topsze!...

Od razu kilku wyszło. Pozostali pokręcili się jeszcze króciutko w wilgoci buchającej z kotła pary. Zaduch ciasnej izby, gotującej się bielizny i obawa przed zarażeniem się, tak typowa dla Niemców, wypędziła ich stąd natychmiast. Wychodząc nakazali Kosmie towarzyszyć sobie przy rewizjach w domu.

— Dobrze, dobrze... — powiedział za nimi spokojnym głosem, ale nie poszedł. Musiał uspokoić dziecko, które dostało nerwowych drgawek. Potem Kosma ostrożnie wyjrzał przez okno. Na podwórzu leżał skopany i zbity „Rybak”. Złapali go zaraz w bramie. Jak się okazało później, miał przy sobie rewolwer. Zabrali go razem z innymi.

Byłem przerażony. No, więc trzeba natychmiast wszystko usunąć i Kosma powinien również ulotnić się z dzieckiem.

Pokręcił głową ze smutnym uśmiechem.

— On nie powie nic!

Wyrzuciłem wątpliwość, ale Kosma uderzył się ręką w pierś i po raz pierwszy nieco podniesionym głosem powiedział to, czym mnie kiedyś już przekonał:

— On, to tak jak ja.

Wbrew logice i obowiązkowi zgodziłem się więc, że magazyn zostanie na miejscu. Ożyła we mnie jakaś irracjonalna wiara w moc tamtego.

— Że też tak akurat praliście — powiedziałem wreszcie i spojrzałem na Kosmę z niejakim podziwem.

— A no, żona prała na zarobek; pomagało się tam jej, a teraz... trzeba utrzymać klientelę, aż kobieta wróci.

Wiedziałem, że z tym powrotem nie jest tak dobrze. Biedna matka Kasi była po ciężkiej operacji. Po prostu rak. Pomyślałem, przypominając sobie ten fakt, że koncepcja Kosmy nastraszenia Niemców gruźlicą kryła w sobie ostatnią — jak się zdawało — kreskę w rysunku charakteru tego niezwykłego człowieka. Spojrzałem, jak nigdy nie patrzyłem na niego. Był chudy, mizerny; taki sobie, nieważny człeczyna. Jakże miałem nie oddać mu bodaj w duchu hołdu przed wolą, która nagięła ku sobie wyżyny dzielności. Ten mały dozorca miał w sercu siłę wielkich ludzi; znał siebie i innych.

„Rybak” — jak okazało się później — odszedł do lepszego świata, nie wydawszy meliny. Wtedy jednak trudno było obiektywnie przewidzieć, jak zachowa się podczas badań w Gestapo. Poza tym, była to niewątpliwie strata dobrze zapowiadającego się towarzysza broni.

Opowiadanie dozorca bardzo mnie jednak przygnębiło. Kosma był również nieswój. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Wahał się. Staliśmy w izbie, która była zawsze mroczna. W tej chwili wydało mi się nagle, jakby osunęła się o dalszych kilka stopni w mrok. Widocznie nadpłynęła i przykryła niebo większa chmura, zaciemniając studienne podwórze. Szczegóły naszych twarzy straciły na ostrości; postać Kosmy zmieknęła niejako i rozluźniła się w tym półmroku.

Wyciągnąłem rękę ze słowami: — Pójdę już, do widzenia.

Powiedział: „do widzenia” i po krótkim zawahaniu się postąpił za mną krok, nieśmiało dotykając mego ramienia. Zatrzymałem się i spojrzałem pytająco.

— Niech pan popatrzy — wyrzekł ciężko, wskazując ruchem głowy ścianę za kredensem. Zwróciłem się w tamtą stronę, ale naprawdę nic szczególnego nie zobaczyłem.

— No, cóż takiego?... — zapytałem zdziwiony.

— Widzi go pan?

— Kogo?

Poruszył się niespokojnie. — No, jego... na fotografii — powiedział cichym, niskim głosem.

— Rzeczywiście — szepnąłem jakoś niepewnie, bo istotnie czyjś mocno kolorowy fotos wisiał na ścianie.

— To „Rybak” — wyrzekł wreszcie nienaturalnie wolno i spokojnie Kosma, a potem dodał jeszcze ciszej i jakby z zakłopotaniem: — mój syn!

JERZY MIECZYŚLAW RYTARD

## Za wroźki nitką

Kochanej siostrze Krystynie —  
całując Jej drogie, dobre ręce

Gdy wiatru miękki ton  
Rozgarnął noc,  
Zakwilił ptak  
I westchnął kłon.

Myślą płochą,  
Jak nitką,  
Odpędzam  
Zwątpień licho.

Jakby za wroźki  
Nitką,  
Jak we śnie,  
Po trawie  
Stąpam cicho.

Po trawie idę,  
Boso.  
Cisza.  
Noc pachnie rosą.

ANDRZEJ SZMIDT

## Nie obok

Panu Czesławowi Miłoszowi

Mówią odejść  
zostawić czerwone światełko  
znak niepokoju  
kamienny sprzeciwnik  
na zapłodnionym dojrzałego winobrania

nie  
bo liczy się owoc  
siłą strącony przedwcześnie  
na wiatr  
wiatr niespokojny splątany

cięży owoc  
choć cierpki choć niedoskonały

zrywanie fasoli  
i tomy Szekspira  
jedność  
nie można zaczynać od szczytu  
z goryczy rodzi się ziarno

powoli wino dojrzewa  
ale błogosławiony ferment  
w ręce go brać i pić  
niech pali

wśród ognia ma rosnąć słowo  
nie obok.



ELŻBIETA CICHŁA

## Liście

Tu i tam —  
w prawo i w lewo  
cierpki zapach  
boli.  
Tu i tam —  
wiele rzeczy  
z zaciśniętych wymyka się dłoni.

Noc ma  
jedną tylko barwę,  
dzień ma  
jeden tylko blask —  
jakże tak  
przez gościniec nieba  
lecieć  
w ciężki czas?

Tu i tam  
wyrzeźbione  
strwożone  
po ogromnym świetle  
rozproszone  
płyną.

Ojciec Adam i matka Ewa  
strąsają w rozterce  
liście  
z rajskiego drzewa.

Jechało się z wczasów nieźle, bo mnie jakoś kranie upchali w przedziale. Atoli na kilkanaście kilometrów przed Lublinem wszczął się dziwny niepokój wśród podróżnych, którzy z chytrym wyrazem twarzy zaczęli opuszczać przedziały tłocząc się do drzwi wyjściowych.

Wypchnięty przez tłum przemysłowych znalazłem się na korytarzu, stojąc na jednej nodze — i to nie swojej. Niczym Kariatyda podierałem potężny toból, który oparł na mej głowie korpuśny właściciel w maciejówce. Na nieśmiałą uwagę, że przed wykorzystaniem mej czaszki powinien być mnie chyba uprzedzić, bym mógł zdjąć zawczasu kapelusz, otrzymałem odpowiedź, iż to nie miejsce na obnażanie łba, boć to nie kościół. Odkrycie to swą genialną prostotą wprowało mnie w takie osłu-

gami w powietrzu jak organista w czasie odgrywania ofertorium, wwierciłem się do wnętrza sunącego majestatycznie autobusu, oszołomiony piskiem niewiast, kwileniem dzieci i tubalnym głosem konduktora, który z miejsca (dla inwalid?) nawymyślał mi publicznie od inteligentów, po czym zaapelował do mego sumienia, bym kłęczał raczej na swoich a nie jego kolanach, skoro już tak na gwałt pragnę w tym wozie odprawiać pokutę.

Na skutek nagłego zatrzymania się wozu kolebnelimy się wszyscy gwałtownie w przód, tak że tryknął siedliskiem mózgu o przednie przepierzenie oddzielające miejsce kierowcy od pomieszczenia pasażerskiego, aż mi się kapelusz spląszczył na patelnię. W oczach ujrzałem świeczki, a u swych stóp zażywną jejmość siedzącą na wa-

# Niezwykły pochód

WOJCIECH NATANSON

Przed kilku tygodniami niezwykle pochód przeszedł ulicami starego Krakowa. Na czele kroczyła orkiestra, potem poczet sztandarowy Liceum im. Jana Sobieskiego w Krakowie, a następnie tysiące osób wszelkich stanów i zawodów, ze wszystkich stron Polski i wszelkiego wieku: od lat 80 do 20. W pierwszym szeregu zauważono wiceministra oświaty Zofię Dembińską; obok niej kroczyli: poseł ziemi krakowskiej Bolesław Drobner, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity językoznawca, Zenon Klemensiewicz. A dalej: dziesiątki głośnych w Polsce ludzi, uczonych, adwokatów, działaczy, pisarzy, lekarzy, księży, inżynierów, urzędników, aktorów, malarzy, architektów, muzyków, sportowców...

Pochód szedł z Zamku Wawelskiego ku staremu budynkowi gimnazjum im. Jana Sobieskiego. Po drodze do auli zatrzymano się na pierwszym piętrze, gdzie dyrektor szkoły powitał zebranych i poprosił o uczenie minutą milczenia profesorów i byłych uczniów Liceum im. Sobieskiego, poległych w czasie ostatniej wojny. Szczegół charakterystyczny dla naszych spraw narodowych: gdyby chciało odczytać ową listę — jak to bywa w zwyczaju — samo wyszczególnienie nazwisk trwałoby ponad godzinę.

Tak się zaczęły niezwykle uroczystości 75-lecia jednej z najstarszych szkół polskich, gimnazjum (a obecnie liceum) im. Jana Sobieskiego w Krakowie.

3 września 1883 roku (czyli w roku śmierci Cypriana Norwida, dziewiętnaście lat po katastrofie Powstania Styczniowego, a dziesięć przed wydarzeniami, które znaczą początek krakowskiego ośrodka Młodej Polski) pewna część uczniów z przepelnionych gimnazjów św. Anny (im. B. Nowodworskiego) i św. Jacka została przeniesiona do nowej szkoły średniej, umieszczonej pod patronatem króla Jana Sobieskiego. Można sobie wyobrazić znaczenie tego, drobnego na pozór faktu, dla ówczesnego Krakowa. Po pierwsze, był to jeden z ważnych epizodów ówczesnej rozpaczliwej walki o szkołę polską. Gdy Apuhtin szalał w Warszawie, gdy w zaborze pruskim germanizowano i bito dzieci polskie, tu, w „polskim Piemencie”, jakim była Galicja, nie tylko uczono się w mowie Mickiewicza — ale i wydzierano niepamięci karty dziejów narodowych. Od średniowiecza istniała w Krakowie, wyrosła z Alma Mater, pierwsza polska szkoła średnia: gimna-

zjum Świętej Anny, które potem przybrało nazwę im. Nowodworskiego. W roku 1857 dodano szkołę drugą — gimnazjum św. Jacka (zlikwidowane niedawno, jak napisał prof. Wroński „w gorączkowej dobie przekształcania niektórych szkół ogólnokształcących w zawodowe”).

W okresie powstania Gimnazjum Sobieskiego, w Krakowie zaczęła się walka przeciw zakusom austriacko-biurokratycznej germanizacji: „Samorząd ludów — mówił Józef Dietl w roku 1861 — musi się zacząć od rozporządzenia sobą umysłów”. Napływ uczniów był ogromny; nie tylko inteligencja polska posyłała dzieci do szkół średnich i uniwersytetów, ale i garncą się do wiedzy, pełna wspaniałych sił żywotnych klasa chłopstwa. Zza kordonu przybywali młodzieńcy na „stancję”. Według statystyki przytoczonej przez prof. Wrońskiego, w roku 1882/3 było w Gimnazjum Św. Anny w Krakowie aż 1068 uczniów.

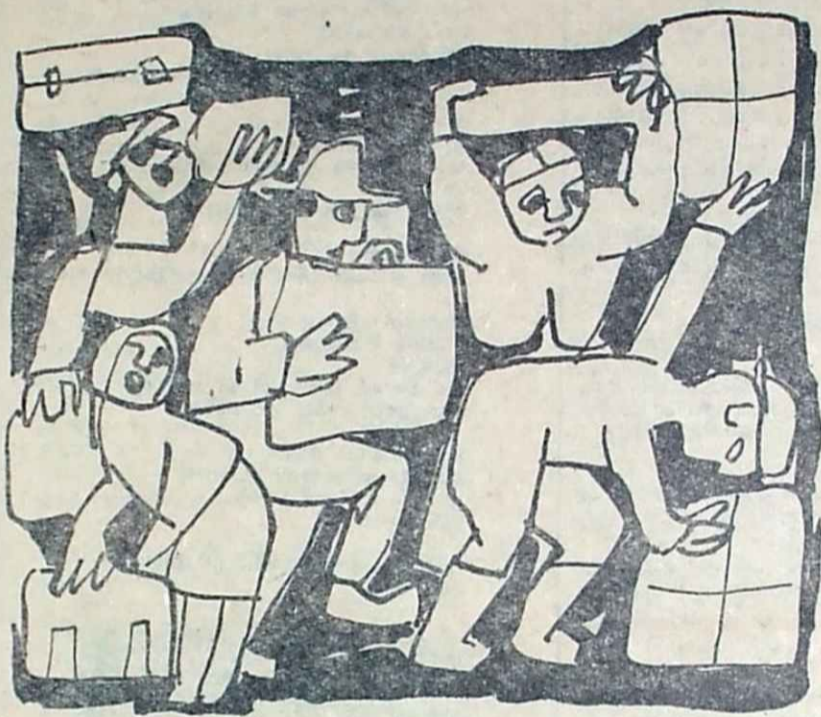
Utworzenie nowej szkoły średniej w Krakowie było więc poważnym wzbogaceniem dorobku kulturalnego nie tylko samego miasta i nie tylko Polaków w Galicji... A ponieważ obchodzono właśnie dwudziestą rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem, Rada Miejska podjęła inicjatywę nauczyciela dr Leńko, by nowemu gimnazjum nadać nazwę wielkiego króla. Inicjatywa była szczęśliwa. Najnowsza historiografia polska uwypukla zasługi męża stanu i monarchy, który na pewien czas przywrócił Rzeczypospolitej znaczną pozycję w polityce międzynarodowej, a zarazem rozumiał i czynnie doceniał znaczenie kultury, nauki i sztuki (co się nie często zdarza mężom stanu).

W Księdze Pamiątkowej, wspaniale wydanej z okazji obecnego jubileuszu Gimnazjum im. Sobieskiego, zamieścił prof. Kazimierz Piwarski niezwykle ciekawy i dobrze napisany szkic o patronie naszej szkoły, gdzie przypomniano m. in. Sobieskiego jako bibliofila i miłośnika pięknej lektury, entuzjastę nauki i mecenasa kultury.

Prof. Mieczysław Brahmner (też wychowanek gimnazjum) w studium „Toskańskie echa zwycięstwa pod Wiedniem” ustalił na podstawie źródeł włoskich, że Jan III zabiegał przez sekretarza swego Brunettiego u księcia tokańskiego w roku 1675 o publikację

## Kupą, mości panowie!

JERZY WICHROŃ



pienie, żem biernie się poddał falowaniu masy ludzkiej.

Po zatrzymaniu się pociągu na stacji Lublin tłum wystrzelił z wagonu jak korek z butelki. Staczaliśmy heroiczną walkę z lawą, pracą do wewnątrz z peronem. Cizba wagonowa miała przewagę nad tłuszcza peronową dzięki szczęśliwemu dla nas prawu fizycznemu: oto my siłą bezwładności i ciężkości waliśmy się z góry na karki stojących poniżej.

Zjechałem na grzbiecie leciwej damy, szepcząc jej namiętnie do ucha wyrazy głębokiego ubolewania, pokrzepienia i otuchy. Zasłaniałem się przy tym służbową teką od jakowegoś swawolnego Dyziaka, który, usadowiony „na barana” u swego taty, wtykał mi zakrzywiony drut do ucha niby antenę, co mię całkowicie uziemiało.

Wylądowawszy na peronie, poczułem zew krwi i ulegając instynktowi stadnemu pomknąłem wraz z oszalałym tabunem w kierunku wyjścia do miasta. Pasja współzawodnictwa, od miśnięcia skutecznie podsycana toto-lotkiem, pomogła mi szczęśliwie przekroczyć przez parę torów i ponad kilkumetrowy cięś, co padły na swych tłokach jak Spartanie na tarczach.

Nie bacząc na lokomotywę, rozpychającą z gwizdem i sykiem sapiącą cizbę, wataha nasza dopadła wreszcie wyjścia, z bilecikami trzymany w gotowości i wylała się na plac przed dworcem. Szpica, złożona z harcowników, którzy, sądząc po fachowej strategii, musieli być doświadczonymi tubylcami, powiodła nas do szarzy tym razem na czerwony autobus miejski, ruszający właśnie na nasz widok, jakby chciał uniknąć przed potopem.

Poczuwszy nagle przypływ obywatelskiego zmysłu porządku, zawołałem w galopie:

— W kolejce, proszę państwa!

— Panie! Każdy chce jechać, a panu kolejki się zachciało?

Podtrzymywany przez cudze łokcie wbijające mi się w zęba, dyndając no-

lizie i trzymającą na kolanach dziewczę w wieku przedszkolnym. Chwyciwszy tekę w zęby, wparłem się dłońmi w owo przepierzenie, by napierający z tyłu tłum bliźnich nie rozgniół za pomocą mej cielesnej powłoki owych dwóch istot spoczywających na walizce jak na zacisznej wysepce wśród rozszalałych bałwanów. „Nie zdzierzę” — pomyślałem, czując straszliwy ból w krzyżu i skrzypienie w więzaniach cielesnych.

Postanowiłem wysiąść na najbliższym przystanku, ale sąsiad obok tarasował drzwi.

— Czy pan wysiada? — spytałem go błagalnym bełkotem, jako że kawał teczki w zębach utrudniał mi prawidłową artykulację.

— Nicht verstanden, pas compris — odrzekł indagowany, biorąc mnie za cudzoziemca.

Pytanie musiałem powtórzyć, męcząc się jak szkapa chlepcząca wodę przez wędzidło. Gdy wreszcie uzyskałem odpowiedź: „a co to pana obchodzi”, rece oparte o przepierzenie omdlały, szczęki się rozluźniły, teka spadła na głowę dziewczęcia, zaważszy po drodze o wystający nochal jejmości, a zwycięski tłum, który jakby czyhał na tę okazję, naparł na mnie tak, że zipląc jak astmatyk pograżyłem się w niebezpieczne, chronione dotąd przeze mnie istoty.

— Ty, byku, — wrzasnęła jejmość — wara od dziecka. Milicja, pomoc!

— Toż ja bronie pań przed tłumem calutki czas! — jęknąłem rżąc.

— Dziękuję za taką obronę — huknęła zainteresowana, wykazując tym znajomość obyczajów towarzyskich.

Autobus nagle stanął. Z entuzjastycznym okrzykiem „Brama Krakowska” pasażerowie runeli gromadą ku wyjściu, dzięki czemu i ja wrzeszcząc „Kupą, mości panowie” — znalazłem się na bruku śródmieścia z siarczystym przytupem na skutek ześlizgnięcia się ze stopnia.

— Nie przytupuj pan za mocno — ostrzegł mnie milicjant — bo się pan

zapadniesz w podziemia, a nas pan narazisz.

— Ja nie tutejszy — odparłem — nie wiem, o co chodzi.

— To dlatego, obywatelu — taki chojrak. A my ty, obywatelu, jak myślisz na pudle żyjemy. Na skutek łochów podziemnych coraz to jakaś szczelina w bruku się tworzy i czeluście ukazuje. Róbcie, obywatelu, zawozu remanent czyli rachunek sumienia.

Nie na remanent mi się jednak zbierało.

Pomknąłem na Plac Litewski wiedząc, że mieści się tam jedyny na całe miasto wojewódzki szalet podziemny, zwany metro lubelskim.

Niestety, metro było już zamknięte, a jakowyś dowcipniś wypisał kredą: „W związku z remontem remanent. Przyjmowanie towaru jutro”.

Remanentu dokonałem w hotelu. Wyniki: brak teki, trzech guzików od palta, wyrwana patka tylna, rozdarta prawa nogawica, nieznana mi siatka nylonowa okręcona wokół guzika do rekawa i cztery pchły w bieliznie.

Zbolały rzuciłem okiem na „Kurier Lubelski”, leżący na hotelowym stoliku. Krzykliwym czcionkami wołał do mnie tytuł popularnej tu ponoć rubryki: „Pomagamy sobie wzajemnie”.

Nowy duch wstał we mnie. Z okrzykiem „Kupą, mości panowie” runąłem na hotelowe łóżko i zapadłem w tegi sen.

Raz jeno gdzieś po północy poczuwałem ku oknu, zwabiony gromkimi pohukiwaniami. W świetle latarni ulicznej ujrzałem wizję apokaliptyczną. Brodaty młodzian o kudłatym karku tulił się z niekłamną życzliwością do milicjanta, włokącego go snąc do aresztu, i wygłaszał dyszantem płomienne przemówienie.

— Jam ci jest monopolak, panie obywatelu władzo. Sursum morda! Requiescat in pace, czyli raz w kozie śmierci!

Kupą, kupą, mości panowie! Pomagamy sobie wzajemnie! — zamamrotałem.

Reszta nocy upłynęła spokojnie.



W ciągu ostatniego roku w polityce wystawowej CBWA w Lublinie zaszły poważne zmiany. Dotychczas Związek Plastyków urządził wiosenne i jesienne wystawy prac swych członków, rzadziej natomiast sprawozdano prace malarzy spoza Lublina. Obecnie większy nacisk kładzie się na wystawy indywidualne. Częściej również oglądamy prace znanych w Polsce plastyków (Rosenstein, Mazlarska, Romanowski), zbiorowe wystawy związku ograniczono natomiast do jednego dorocznego Salonu. Zmiany te są korzystne tak dla wystawiających twórców jak i dla odbiorców — dają jednolity obraz rozwoju i twórczości jednego malarza czy grupy związanej jakimś programem bądź

towany na wystawach związkowych — pokazał swój bogaty dorobek artystyczny. Przeprowadzona z autorem rozmowa pozwoliła nam poznać drogę rozwojową jego twórczości. Abramowicz od lat młodzieńczych zdradzał zdolności artystyczne. Przed pierwszą wojną światową uczył się rysunku i malarstwa w szkole prof. Kazimierza w Żytomierzu. Wojna przerwała jego studia w tym kierunku, lecz po jej zakończeniu został zaproszony na Akademię Krakowską przez Fałata, który był wówczas rektorem tej uczelni. Jednakże zmuszony do pozostania w wojsku — nie mógł ukończyć studiów, niemniej jednak nigdy nie przerwał samodzielnej pracy nad kształce-

ni i ułube. Do kraju powrócił w 1947 roku, osiedlił się w Lublinie i wstąpił do tutejszego ZPAP, którego był prezesem przez dwa lata.

Obecna wystawa jest przeglądem dorobku Abramowicza z ostatnich lat. Wystawione prace świadczą o ciągłym kontakcie artysty z naturą. W tematyce na pierwsze miejsce wysuwa się koń — koń w pracy, koń na wyścigach, na polowaniu, koń rasowy i szkapa do rózkiarska. W każdym obrazku, w każdym najmniejszym szkicu widać znajomość anatomii zwierzęcia, świetnie podchwycony ruch, wyraz: prawie namacalnie wyczuwa się głęboką sympatię i zażyłość artysty z koniem. Nie tylko koń interesuje malarza, ale w ogóle tematyka wiejska, o czym świadczą choćby tytuły prac: „Zwózka buraków”, „Gospodarstwo w Machnowie” oraz wiele rysunków krów i buhajów.

Najulubieńszą techniką stosowaną przez Abramowicza jest rysunek — ołówkiem, węglem, sanguiną. Buduje kompozycje zdecydowanymi, śmiałymi i pewnymi liniami, rysunki jego są pełne dynamiki i lekkości, a kreska bogato zróżnicowana i urozmaicona walorowo — raz jest cienka i lekka, raz gruba, bardzo materialnie określająca formę.

Drugą, równie cenioną przez Abramowicza techniką, jest akwarela. I tu, jak w rysunku, czuje się artysta swobodnie. Jego prace wykonane tą techniką są lekkie, o zgaszonej gamie kolorystycznej. Przez umiarkowane kładzenie farby bardzo rozwodnionej osiąga wrażliwe jej przenikanie i otrzymuje interesujące efekty dzięki charakterystycznym zaciętom.

Prace olejne — choć tą techniką rzadziej się posługuje — zajmują na wystawie dużo miejsca. Nie szokują widza, lecz po dokładnym obejrzeniu urzekają kulturalnym zestawieniem barw i dobrą kompozycją. Są to przeważnie pejzaże i martwe natury oraz kilka portretów. Pejzaże zwracają uwagę nastrojowością; wyraźnie wyczuwa się melancholię szarego deszczowego dnia, spokój i zadumę jesieni, ledwie uchwytny niepokój przedwiośnia — co osiąga malarz przygaszoną gamą kolorystyczną, subtelnie zróżnicowanymi szarościami i błękitami. Brak w tych pracach taniego efekciarstwa, krzykliwych błyskotliwości i rozmachu, ale widać odczucie przyrody, chwili („Wiosna pod Józefowem”, „Pejzaż wiosenny”, „Pejzaż kielecki”). Zastanawia brak pejzaży letnich w pełnym słońcu, ale artysta tłumaczy to brakiem możliwości przebywania w plenerze w miesiącach letnich. Niekiedy Abramowicz zbliża się do impresjonistów, zwłaszcza w pejzażach miejskich, z których na pierwszy plan wysuwa się zdecydowanie praca „Podwórko chełmskie”. Tam, gdzie z krajobrazem łączy się postać ludzka, artysta maluje ją z dużą umiejętnością, doskonale oddając ruch. Jego studia portretowe są zdecydowanie słabsze.

## DEBIUT

DANUTA KNYSZ

### Błękitne drogi

Po to, żeby iść niebieskim szlakiem  
Trzeba mieć oczy niebieskie.

A tak —  
Gdzieś ja się podzię z czarnymi oczami?

Zadrepę się na żółtych ścieżkach,  
Zadrepę się nad czarnymi gąsieniami.  
Zadypę się bez niebieskich łezówek.  
— Dobry Boże!

Daj mi niebieskie oczy.  
Wtedy będę mogła iść na twoje spotkanie  
Błękitnym szlakiem,  
Marzyć o niebieskich migdałach  
I wierzyć niebieskim ptakom.

### Świętojańska

Cheć mieszkać na Świętojańskiej.  
Tam żyją święci.

Tamtey chodzą janowie.  
Gdy na świętojańskiej zapalają się światła

Święci usypiają.  
Budzą się janowie.  
Cheć mieszkać na świętojańskiej  
Ale nie chcę być świętą.

# WYSTAWA Józefa Abramowicza

HANNA MICHALCZUK I JANINA STASIAK

wspólnymi dążeniami, a wystawa dorocznego związku ma wówczas charakter jakby informacyjny i zapoznaje nas z twórczością bieżącą lubelskich plastyków. I chyba ten punkt widzenia jest najstosowniejszy ze względu na wieloraki charakter i różnorodność kierunków, które reprezentują malarze zgrupowani w ZPAP.

9 sierpnia br. została otwarta wystawa indywidualna Józefa Abramowicza. Malarz — zwykle skromnie reprezen-

niem twórczości plastycznej, w czym bardzo mu pomogły wskazówki profesorów Szyszko-Bohusza, Stefańskiego, Karolaka i innych. Druga wojna światowa i sześć lat niewoli niemieckiej nie osłabiły jego działalności artystycznej. Po wojnie, w 1946 r. w Lubecie, odbyła się pierwsza wystawa indywidualna Abramowicza — głównie rysunki koni. Następnie, w latach 1946—47, organizował wystawy polskiego ośrodka artystycznego w Hannoverze, Brunzwicku

„z zakresu chemii i astronomii, w których Jego Królewska Mość wielką znajduje przyjemność”, a gdy przesyłka nadeszła „niepodobna opisać zadowolenia, jakie miał Jego Królewska Mość, mój pan miłoścy, widząc pojawienie się skrzyni książek, przesłanych przez Waszą Książkę Wysokość. Przebiegł tytuły wszystkich w obecności Najjaśniejszej Królowej, która obok wielu innych pochwał wyraziła uznanie dla piękna oprawy. Król wybrał natychmiast cztery z nich, by przed kimkolwiek innym je przeczytać...”

Najdawniejsi abiturienti Gimnazjum im. Jana Sobieskiego znaleźli się w auli 75-letniej dziś szkoły; wśród nich prof. Tadeusz Sinko, filolog i hellenista, autor „Antyku Wyspiańskiego” i znawca teatru, erudyta, który wydał w swym życiu kilkadziesiąt rozpraw naukowych. Prof. Sinko zabrał głos imieniem najstarszej generacji „Sobków” (jak w Krakowie nazywają wychowanków szkoły). Dr Bolesław Drobner, jeden z najlepszych u nas mówców, rozgrzał salę ciepłym swym humorem. Zygmunt Nowakowski nadesłał list, zaczynający się od słów: „Sobki wszelkich krajów łąćcie się!” i opisał swą tęsknotę za Krakowem („Nawet gdybym oślepił, potrafiłbym odnaleźć najmniejszy zaułek w owym najpiękniejszym mieście świata”). Imieniem średniej generacji „Sobków” (to jest pokolenia międzywojennego, lat 1919 — 1939) zabrał głos chirurg, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zarazem wyborny pianista i niezwykle szlachetny człowiek, mój kolega szkolny, prof. Józef Bogusz. Przyłączył się do tych głosów już wojenny abiturient, red. Budzyński ze „Zdarzeń” krakowskich, a niemałe wzruszenie wywołało przemówienie jednego z uczniów, który na końcu słubował, że tytuł byłego ucznia Liceum im. Sobieskiego w Krakowie także i dla obecnego pokolenia będzie zawsze przedmiotem gorącej dumy.

Duszą Komitetu Organizacyjnego obchodu i prezesem Komitetu był dawny nauczyciel szkoły, obecnie jeden z przedstawicieli językoznawstwa na Wyższej Uczelni, dr Zenon Klemeniewicz. W pięknym swym przemówieniu powiedział on o „wycieczce w krainę dzieciństwa i młodości”, jaką może być tego rodzaju uroczystość. Staraniem się pójść śladami tej myśli. Oto opada z nas pył doświadczeń, z ramion zesuwa się ciężar trudnych przeżyć, wyzbywamy się trosk i niepokojów — jesteśmy znów młodzi, rzeźcy, rozbawieni, roześmiani. Jeśli w całym życiu moim nigdy nie rozstawałem się z nadzieją, jeśli i dziś, dźwigając pięćdziesiątkę, czuję się młody — bo pełen projektów literackich — czyż nie zawdzięczam tego wszystkiego przedziwnemu klimatowi szkoły krakowskiej?

Obchód 75-lecia Gimnazjum im. Sobieskiego pozwolił w jakiś sposób wyczuć, czym była szkoła dla Krakowa, a Kraków dla całego kraju.

W toku uroczystości zjazdowych oraz w Księdze Pamiątkowej przypomniano jedną z najbardziej niezwykłych postaci, jakie się przewinęły przez Gimnazjum im. Sobieskiego: prof. Franciszka Fuchsa. Pamiętam go doskonale (podobnie jak go wspomina w Księdze Pamiątkowej Tadeusz Kudliński). Wysoki, z piękną głową, niezwykle energiczny, dowcipny i efektowny w wykładzie — umiał Franciszek Fuchs od pierwszej chwili zaimponować każdemu uczniowi. Ten historyk i geograf niezmiernie utalentowany mógł zrobić olśniewającą karierę naukową; po kilku pierwszych rozprawach proponowano mu docenturę, w perspektywie rysowała mu się katedra uniwersytecka. Franciszek Fuchs odrzucił jednak tę propozycję. Może był to bolesny rezultat jednego z ciężkich przeżyć młodości (niespodziewanej utraty żony i dziecka). Ale najpewniej działał instynkt wychowawczy, zrozumienie wagi i piękna pracy pedagogicznej u człowieka tak jasno patrzącego, że każdego ze swych uczniów zdawał się przenikać na wskroś. Gdy co lat kilka lub kilkanaście na nowo spotykałem prof. Fuchsa, wydawał mi się prawie niezmienny; jakby tylko odrobina bardziej ściszony i melancholijny. Aż nagle na wiosnę tego roku przeczytałem w „Tygodniku Powszechnym” nekrolog poświęcony temu wielkiemu pedagogowi, wychowawcy i budzicielowi talentów. (Ileż to osób dzięki Fuchsiowi odnalazło drogę pracy i studiów!). Żadne inne pismo ogólnopolskie (tj. z wyjątkiem prasy lokalnej) nie znalazło miejsca na kilka choćby słów poświęconych pamięci tego niezwykle człowieka i pedagoga-twórcy...

W gronie dawnych kolegów spotkaliśmy się przy stole jednej z restauracji krakowskich. Snuliśmy wspomnienia i wymieniali wrażenia. I oto jakby w nawianiu do ranego pochodu, który objął cały tysiąc byłych wychowanków Gimnazjum — zarysował nam się w myślach inny pochód. Szeregiem szli tutaj dawni profesorowie, uczniowie, żyjący i zmarli, sławni i zapomniani, przebywający w rodzinnym mieście i przeniesieni do innych ośrodków. Jakże się wszystko łączy w prawach naszej egzystencji: Gimnazjum im. Sobieskiego jest nie tylko „pepinierą” ośrodków naukowych, literackich, artystycznych, ale i sportowych. Tu powstawała „Cracovia”, tu studiowali Józef Lustgarten i dyr. Włodzimierz Reczek. Kraków jest nie tylko stolicą polskiego intelektualizmu, ale i świeżej energii fizycznej. Stare tradycje mogą być w każdej dziedzinie źródłem siły.

Wojciech Natanson



JÓZEF ABRAMOWICZ — Autoportret, węgiel

Najciekawsze pozycje nowości wydawniczych ostatniego okresu zawiązujemy S.W. „Czytelnik”. Jej to staraniem ukazały się wreszcie po raz pierwszy „NOWELE” Samuela Becketta (opr. brosz., z obw., c. z 12., nakł. 3.000) w przekładzie J. Rogozińskiego. Nieduży ten tomik zawiera trzy utwory: „Wydalony”, — „Narkotyk” — i „Koniec”, wyjęte z opublikowanego w r. 1955 tomu pt. „Nouvelles et textes pour rien”.

Trzecią godną uwagi pozycją czytelnikowskich nowości jest drugi tom „OSTATNIEJ KSIĘGI” Władysława Krawczyka, zawierający trzecią część tego dzieła, opatrzoną tytułem „POSZUKIWANIA I NADZIEJE”.

## NOTY

UKAZAŁA SIĘ „RZECZ POETYCKA” pod redakcją Stanisława Czernika. Tomik „Tworzywo” (który wyszedł w pierwszej kolejności zamiast zapowiadzanego „Progu”) zawiera uwagi poetów na temat procesu twórczego i różnych zagadnień związanych z pracą poetycką. Znalazły się tu: przedruki (z „Okolic Poetów”) wypowiedzi nie żyjących już pisarzy, Jak Czechowicza i Fika, oraz nowe rozważania Przybosa, Ilakowiczówny, Wittlina, Giesga, Gomolickiego, Huszczy, Ożoga, Piechala, Piętki, Pogonowskiej, Skonecznego, Sterna, Spiewaka, Baka, Nagrabieckiego, Czernika i Timofiejewa. Szkoda, że nie odsonili nam pracy w swym warsztacie poetyckim Wat. Ze szczególniejszym zainteresowaniem czyta się wypowiedzi Ilakowiczówny, Wittlina Czernika i Timofiejewa.

POLACY NIE GESL... Pod tą rejonową cytata ukazuje się w „Trybunie Literackiej” stały (co dwa tygodnie) kącik językowy podpisany literami fp. Inicjatywy tej należy entuzjastycznie przyklasnąć i zachęcić do naśladowstwa pod tym względem inne pisma literackie, rozporządzające większą ilością miejsca. Rozpowszechniły się już zbyt w naszych księgach i nawet w pismach kulturalnych różne „jakby nie było” i „za wyjątkiem”.

JAK I W JAKIM CELU TWORZY SIĘ WIELKICH LUDZI W USA, mówi o tym demaskatorska powieść Al Morgana „Wielki człowiek” (PIW). Reklamę preparuje ich z najpospolitszych lajdaków, aby tyko business obrabiał dolarami. Od tej książki, której autora — Amerykanina nikt nie posiadał o stronniczość, trudno się oderwać, choć czyta się ją z obrzydzeniem.

RODZICE, NIE KPIJCIE Z DZIECI. „Królówie są wśród nas” powiada Jerzy Horosiewicz w n-rze 33 „Świata”. I Władysław Łokietek, i Władysław Jagiełło i Stefan Batory, i Jan Sobieski. Oglądamy nawet ich zdjęcia. I nie tylko królówie, — znamy ich pisarzy: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, ba! nawet Adam Mickiewicz. Wydaje nam się, że to wcale nie jest wesołe, choć w felietonie potraktowane z humorem. Jeśli komuś przypadło w udziale historyczne nazwisko (za co nie jest odpowiedzialny), nie powinien swym dziełom nadawać imienia zbieżnego z imionami wielkich postaci z historii czy literatury. Wymaga tego, jeśli nie petyzmu, to już pewien takt, a poza tym, po co narządzać swoje potomstwo na kłyny w szkole i śmiech w życiu?

CO NA TO ALPINISTA Z REDAKCJI? Widocznie jest na urlopie, bo albo nie dopuściłby do takiej ignorancji w korekcie, albo poleciłby naza jutro zamieścić sprostowanie. W „Kurierze Lubelskim” z dnia 12 sierpnia rb. w informacji pt. „Lekko-myślnie przyczyna tragicznego wypadku w Tatrach” dowiadujemy się o istnieniu w okolicy Niżnych Rysów jakiegoś Niedzielnego Zrebu (?) oraz że „w pewnym momencie oberwał się duży płat śniegu pod ciężarem przechodzących powyżej zrebu (?) reszty uczestników wycieczki”. A gdzie po prostu o śnieg!

-kaj-

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. P.

M. J. w Świdnicy. W jakim celu przysłał Pan „Moje okno”, bo nie wiemy? M. Kuź. w Kazimierzu. Z nadesłanych sonetów o Kazimierzu i Bochnie nie skorzystamy. K. M. Kam. w Milczu. Nie zamieścimy. Wiersz przysłał póżniej — stały. Józ. Rat. w Poznaniu. Niestety, nie mamy miejsca na wykorzystanie większej liczby wierszy. Józef Vincent w Lublinie. Pracować. Więcej rygoru, komunikatywności i prostoty. Unikać baroku. Na razie to tylko próba bez wartości.

Danuta Kn. w Warszawie. Prosimy o kilka słów o sobie. Dan. Milcz. w Sieradzu. Dziękujemy za list. Damy debiut — „Spływać Dunajca”, chyba że prześle Pani jeszcze coś innego. J. Jedz. w Lublinie. Prosimy o większy wybór miniatur.

(opr. brosz., c. z 22., nakł. 5.000). Ostatnią część trylogii nosi wyraźne znamiona podwójnego okresu w literaturze radzieckiej (tom pierwszy „Ostatniej księgi”, zawierający części 1 i 2, był wydany w polskim przekładzie w 1955 r.), traktując jako problem walkę uczciwych, rzetelnych naukowców z intrygantami oportunistycznymi kłiki profesorów-donosicieli. Przekład G. Pauszer-Klonowskiej.

Wydawnictwo MON prezentuje nam nowy (trzeci z kolei po „Widzeniu” i „Puścym placu”) tom autentycznych opowiadań z cyklu opowieści o polskich komunistach pt. „MILCZENIE” (opr. brosz., z obw., c. z 11., nakł. 4.000).

To samo wydawnictwo oddało na rynek księgarski nową książkę Marka Sadzewicza (autora „Ofiagu”) pt. „POCISK KALIBER 9” (opr. brosz., c. z 11., nakł.

18.000), stanowiącą zbiór opowiadań z życia naszego wojska w okresie tuż przed wojną i z ciężkich dni kampanii wrześniowej 1939 roku.

Podobną w tematyce książkę Kazimierza Stawińskiego wydały „Iskry” pod tytułem „UCIEKAM” (opr. brosz., c. z 18., nakł. 20.000). Jest to spisana bardzo żywym językiem relacja autora, zestrzelonego w 1939 roku oficera-lotnika, o jego pobycie w niemieckiej niewoli i wielokrotnie podejmowanych próbach ucieczki z kolejnych obozów i stalagów.

„Wydawnictwo Poznańskie” przedstawiło nam debiut Mariana Tarwid, zbiór opowiadań pt. „ŻELAZNY KRZYŻ” (opr. brosz., z obw., c. z 15., nakł. 3.000), ciekawy ze względu na powtarzający się w nich z różnych aspektów problem polsko-niemieckiego współżycia, charaktery-

styczny dla woj. poznańskiego. Autentyczna gwar dialogów wydaje się przesądzać o regionalnym zasięgu książki.

Wielką zasługą PIW-u jest wydanie pośmiertnego zbioru „POEZJA” Józefa Stachowskiego (opr. brosz., c. z 18., nakł. 1500), obliczającego poety czasu ostatniej wojny, zmarłego tragicznie w końcu 1944 roku.

Na zakończenie dla miłośników literatury „silnych wzruszeń” pozwól sobie zapowiedzieć rychłe ukazanie się na półkach księgarskich wznowienia niesamowitej powieści M. Wollstonecraft Shelley pt. „FRANKENSTEIN”, dokonanej przez Wyd. Poznańskie w tłumaczeniu H. Goldmann (opr. brosz., c. z 15., nakł. 20.000). Waz

Nowinkarz

# Żywi zaludnili królestwo śmierci

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

Nie ulega wątpliwości, że dzisiejszy nowy świat, szczególnie młode pokolenie, najintensywniej interesuje się problemem zagłady. Zagłady spowodowanej bądź przez przerosł biologizm, czy też psychologizm, bądź to przez kryzys tragicznego spłotu wydarzeń polityczno-społecznych, wśród których pierwsze miejsce zajmuje kataklizm wojny.

Nic też dziwnego, że młody pisarz, jakim jest Jerzy Krzysztoń, wydając pierwszą swą powieść, stworzył wizję artystyczną wypełnioną po brzegi problemem zagłady. Sześć osób skupionych na kilkunastometrowej przestrzeni w piwnicy. Nad piwnicą gruz sześciopiętrowego domu, a wokół grube ściany, których nie mając odpowiednich narzędzi nie podobna przebić. Tak zarysowana jest przestrzeń „Kamienne niebo”. W książce tej nie ma miejsca dla romantyzmu, dla nadziei, dla jakiegos sursum corda, dla fabuły, dla opisów przyrody, dla efektów czysto stylistycznych. Jest sześć osób, które czeka śmierć. Dlaczego? Pewno, że tam gdzie na górze, na gruzach, rozgrywa się tragiczna walka powstańców warszawskich. Ale ludzie z piwnicy z powstańcami, poza jedną Ewą, nie mają właściwie nic wspólnego. Racja śmierci tamtych nie jest racją śmierci dla nich. Oni się tu znaleźli przypadkiem. Dlatego, że nie zdążyli opuścić Warszawy, dlatego, że nie zdecydowali się wyjść z piwnicy po wodę, dlatego, że w ogóle byli przeciw zabijaniu. Wszyscy oni są swego typu humanistami, to znaczy osobami, dla których najwyższą wartością stanowi człowiek w aureoli swego istnienia. Pochylony nad „Sonetami” Petrarki profesor mówi do Ewy: „Otoż, niech pani mnie dobrze zrozumie, nie ma takiej wartości, która warta byłaby — w arta, rozumie pani? — zabijania”. Zdanie to jest dewizą całej książki. Pod dewizą ta podpisują się i inni mieszkańcy przywalonej gruzami piwnicy: Maniś — cwaniak warszawski, Safianowa — żona stróża z sułtany, Rumińska — młoda matka. Wszyscy oni dotychczas nie czynili nic więcej, jak tylko walczyli o prawo utrzymania się przy życiu. Dla nich kategorie historyko-zoologicznego patriotyzmu są zupełnie obce. Niemym protestem przeciwko powstaniu, przeciwko wojnie, jest Celinka, malutka córeczka Rumińskiej. Ona nie rozumie, co znaczy walczyć z Warszawą, i nie rozumie, dlaczego z ciemnej piwnicy nie może wyjść na podwórko... po słońce. Oczami najbardziej przeciętnych przedstawicieli społeczeństwa Warszawy Krzysztoń patrzy na problem powstania i w imię prawa tamtych ludzi do życia wydaje wyrok potępiający fanatyzm patriotyzmu. W powieści swej stwarza nową kategorię ocen przeszłości historycznej narodu i to w jego książce jest odkrywcze i ważne.

Bohaterowie Krzysztonia posiadają doskonałą barwę socjologiczną. Maniś będzie zawsze działał jako klasyczny cwaniak, Rumińska jako matka, a Ewa jako panna z lepszego domu. Owo stworzenie ogromnie konsekwentnych psychologicznie typów ludzkich oraz wprowadzenie udanej artystycznie, choć nieco wulgarnie stylizacji językowej, świadczą o dużych zdolnościach pisarskich Krzysztonia. Koncepcja zagłady, motywacja oparta o zjawisko przypad-

\* Jerzy Krzysztoń: Kamienne niebo, Warszawa 1958, Iskry.

ku, pewna „światopoglądowość”, socjologiczne i nieco biologiczne ukształtowanie postaci, stworzenie szarej wizji artystycznej o wewnętrznych elementach ogromnie silnego, naturalnego jakoby, tragizmu, pozwala książkę Krzysztonia konkurować z osiągnięciami najlepszej prozy zachodnio-europejskiej.

W „Kamieniu niebie” zachowana jest klasyczna jedność miejsca i czasu. Miejsce — to przywalona gruzami piwnica. Czas — to cztery dni oczekiwania na śmierć przez zaduszenie. Ale ludzie jeszcze żyją. Mają zbyt wiele nawyków klasowych, zawodowych i normalnych, ludzkich, aby mogli od razu umrzeć. Mężczyźni kopią kloake, aby odchody nie zatrwały powietrza, obliczono ilość marchewek znalezionych w piwnicy oraz wydzielono dla każdego po osiem na cztery kolejne dni, kobiety rozmawiają o strojach, a Celinka urządza dziecinne pranie haszków Pimpusia. Tymczasem wariuje Safianowa, co chwila ktoś załamuje się i mdleje, ludzie zaczynają wymiotować, dusić się, ślepnąć i szaleć. Powolny pochód ku śmierci staje się nie do wytrzymania. Czytelnik z przerażeniem przewraca kartki, goni za ostatnią stroną, aby szybciej doczytać opis końca.

Ale myśl autora była inna. Królestwo śmierci zaludnił żywymi. Krzysztoń powoływała swe postaci z węgłó socjologicznych i sprowadza je do wspólnego mianownika bohaterstwa ludzkiego. Złodziej kieszonkowy Maniś oddaje dwie zaoszczędzone marchewki zwiariowanej Safianowej, lepsza panna Ewa przestaje brzydzić się oprychem ulicznym, inteligent profesor bierze się do pracy fizycznej i przebijają otwór przepuszczający powietrze z drugiej piwnicy. Ludzie zaczynają dokonywać czynów ponad swoje siły. Ale dzieje się to tylko dlatego, że po wyzwyciu się wszelkich obciążeń myślowych: patriotycznych, socjalnych, religijnych, wszelkiej nadziei wyzwolenia, pozostaje jeszcze samo życie, które jest silniejsze od śmierci. W stęchłej piwnicy, gdzie duszą się pajaki — porzucony kartofel zaczyna puszczać nowe pędy. Pomiędzy ludźmi zaczyna się miłość. Małej Celinie ustępuje gorączka. Z rąk do rąk zaczyna krążyć żyłotka, ten jedyny środek, który mógłby przez samobójstwo wyzwolić ludzi od męczarni. Ale w końcu ktoś łamie cienką stal i żyłotka nie poprowadzi już ludzi drogą łatwej, samobójczej śmierci.

W momencie, kiedy kończy się marchewka, gaśnie lampa, jedyne źródło światła, gdy nie ma już żadnych widoków na odkopanie się, w momencie kompletnej ciszy Krzysztoń kończy swą książkę totalnym zwycięstwem życia nad totalną śmiercią. Jego ludzie wybrali życie, mimo że nie mieli żadnych widoków dla zachowania swego istnienia.

Pisarz daje rozwiązanie w duchu humanizmu, humanizmu o pewnych cechach egzystencjalistycznych. Swych ludzi kreuje na bohaterów. Jego książka jest przejawem optymistycznego spojrzenia na siłę i wartość człowieczeństwa. Jest również wymownym aktem artystycznym broniącym ludzkich praw do wolnego istnienia bez obawy przed zagładą wojny.

Dramat, który kreśli Krzysztoń, rozgrywa się jednak przede wszystkim w przestrzeni pomiędzy zdarzeniem a człowiekiem. Postaci posiadają wyraźne wektory socjologiczne, które wyznacza-

ją ich działanie. Problem człowieczeństwa u Krzysztonia jest prosty — wyraża się w prawie do istnienia. Nie ma tu pogłębienia sylwetek psychologicznych, nie ma tu dramatu wewnątrz samej istoty ludzkiej. Są tylko typy i zdarzenia. Niekiedy zdarzenie przekreśla przydatność postaci w akcji. Na przykład Safianowa wartuje i odtąd przestaje właściwie odgrywać samodzielną rolę. Nieumiejętność skonstruowania jakiegos dramatu wewnętrznoludzkiego pośrednio może wywierać pewien wpływ na kompozycję samej książki, której poszczególne rozdziały, choć tak krótkie, zbyt mało są zdynamizowane. Czasem odczuwa się pewne dłużyzny, jakby nowela rozrosła się w zbyt długą powieść.

Nad Krzysztoniem ciąży również uwarunkowania artysty — Polaka, który każdą swą myśl umieszcza w konkretnym kontekście historyczno-narodowym. Krzysztoń stworzył świetny scenariusz piwnicznej zagłady, ale umieścił w nim postaci, które są jak gdyby za mało ogólnoludzkie. Nie są zdolne objąć problematyki wszystkich powstań, jakie mogą się odbyć w Kalukcie, Paryżu czy Warszawie. Sama wizja, w porównaniu na przykład z taką „Dziumą” Camusa, jest zbyt mało uniwersalna. Za to wymowa ogólna utworu jest znacznie bardziej optymistyczna od wielu uogólnień przedstawianych nam przez pisarzy Zachodu. Mimo pewnych niedoskonałości „Kamienne niebo” wróży pisarzowi dobrą przyszłość.

## KSIAŻKI NADESLANE

Lew Kaltenbergh: Żołnierze taty Bema czyli Opowieść Siedmiogrodzka, ilustrował Szymon Kobylński, Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1958.  
Antanas Vienaolis: Pawilon Inteligentów, przełożył Z. Stoberski, Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1958.  
Aleksy K. Tolstoj: Upiór, przełożył Tadeusz Chrościelewski, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie 1958.  
Helena Duninówna: Gawędy o dawnej Łodzi, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie 1958.  
Aleksander Dumas (ojciec): Anioł Pitou, przełożył Tadeusz Jakubowicz, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie 1958, t. I i II.  
Rzecz Poetycka: Tworzywo (Wojciech Bak, Józef Czechowicz, Stanisław Czernik, Ignacy Fik, Jan Maria Giesga, Leon Gomolicki, Jan Huszcza, Kazimiera Ilakowiczówna, Jan Nagrabiecki, Jan Bolesław Ożóg, Marian Piechal, Stanisław Pięta, Anna Pogonowska, Julian Przybós, Stanisław Skoneczny, Anatol Stern, Jan Spiewak, Grzegorz Timofiejew, Józef Wittlin).  
Wacław Golembowski: Dookoła diamentu, Warszawa, Nasza Księgarnia 1958.  
Jan Zabiński: Czy można żyć bez skóry, Warszawa, Nasza Księgarnia 1958.  
Cecylia Lewandowska: Baryłkarz kontra bielinek, Warszawa, Nasza Księgarnia 1958.  
E. Schwarz: Ryby za szkłem, Warszawa, Nasza Księgarnia 1958.  
Arkadiusz Flekara: Zważono ziemię, Warszawa, Nasza Księgarnia 1958.  
Gilbert Cesbron: Ślady próg, tłum. Danieł Kolo, Warszawa, Pax 1958.

## Sprostowanie

Do poprzedniego numeru „Kamień” wkradł się błąd. W artykule Neli Samoty howej „Edward Abramowski” na str. 1, howej 4 — ostatnie słowa przed gwiazką winny brzmieć: „tylko przeobrażony człowiek może wytworzyć nowy świat społeczny”.

## Rysunki w numerze:

TERESA TARGOŃSKA (STR. 3 i 6), PRZEMYSŁAW ZWOLIŃSKI (STR. 4 i 5 — PROZA), STANISŁAW MICHAŁCZUK (STR. 4 i 5 — WIERSE).